

WAMENIA

ROK ZAŁOŻENIA 1933

LUBLIN 16 XI 1975 NR 23 (587)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

ROZMOWY PRZEDZJAZDOWE

Jak się mieszka w Lublinie?

Blisko 300-tysięczny Lublin stanowi przedmiot refleksji socjologicznej, ekonomicznej, urbanistycznej jako aglomeracja miejska poddana działaniu i ocenie profesjonalistów, niewiele natomiast znajdujemy opinii pochodzących ze strony samych tego miasta użytkowników. Mieszkańcy Lublina dzielą się uwagami na temat swojego w nim przebywania i czynią to chętnie, ale w trybie rozmów prywatnych i nie trafiających na szersze forum publiczne. Nie chcąc utracić niczego z charakteru owych wyznań osobistych, a jednocześnie zyskać pełniejszą próbkę opinii, redakcja postanowiła zaprosić przedstawicieli różnych środowisk, do odbycia rozmowy na temat wyrażony w tytule. W rozmowie udział wzięli: Maria Wilińska — nauczycielka matematyki z Zespołu Szkół Zawodowych nr 10, Tadeusz Chabros — zastępca dyrektora Muzeum Okręgowego, Zbigniew Frąc — zastępca dyrektora Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” oraz Mieczysław Kurzątkowski — wojewódzki konserwator zabytków. Z ramienia redakcji w spotkaniu uczestniczył Zygmun t Mikulski.

Z. Mikulski: Tytuł naszej rozmowy został zaproponowany z dużą tolerancją dla dygresji, a cel tego wynika z intencji: dać drogę supozycjom i propozycjom osobistym. Jak mieszkamy, jak pracujemy, jak chodzimy po ulicach, jak czekamy w kolejkach, jak odpoczywamy — jak się nam żyje. Według mnie Lublin jest tym miastem, które urbanistycznie zakrojone na 100 tysięcy mieszkańców, z czasem zostało zmuszone przyjąć tychże mieszkańców tysięcy 300, na skutek czego stanęło przed zadaniem rozbudowy i ta rozbudowa nastąpiła, jednak nie bez pewnych dających się odczuć przeciążeń cywilizacyjnych. Kiedy chodzę po mieście, doświadczam na sobie przestrogi futurologów, którzy stawiają diagnozę o „szoku przyszłości”. Oczywiście nie aż tak daleko muszę sięgać po wyjaśnienia zjawisk naszego podwórka, jed-

Dokończenie na str. 6

**PISARZ
POLSKIEJ
RZECZY-
WISTOŚCI**

W 50 ROCZNICĘ ŚMIERCI
STEFANA ŻEROMSKIEGO

Zygmunt Mikulski

DOPIERO teraz, zgodnie z wolą Stefana Żeromskiego, mogłyby się ukazać jego „Dzienniki”: minęło 50 lat od śmierci ich autora. Nie bez uzasadnionych powodów ukazały się wcześniej i dzięki temu o ten rys bezpośredniego wyznania mamy pełniejszy wizerunek pisarza. Nie znaczy to jednak, że uzupełnienie nastąpiło w jakichś zasadniczych wyznacznikach. Te treści, które autor „Ludzi bezdomnych”, „Popiołów”, „Przedwiośnia” wpisał w polską świadomość społeczną, przetrwały w nienaruszonej postaci nie tylko przez pletyzm dla twórcy, ale przede wszystkim przez prawdę tkwiącą w nich patriotyzmu i zaangażowania w poprawę doli polskiego ludu, niezależnie od różnic z trudno wówczas uchwytnymi pryncypiami społecznych słuszości.

Trudno uchwytnymi. Reakcja antyromantyczna po roku 1863 przejawiała się w dwu postaciach. Jedną z nich to pozytywistyczne wezwanie do pracy organicznej zakreślonej kręgiem interesów praktycznych, druga to młodopolska koncepcja sztuki dla sztuki, mająca wysublimować wyłącznie duchowe i nieskażone empirią skłonności człowieka. Jakkolwiek między tymi dwiema postaciami zachodzi różnica filozoficzna aż tak niepodważalna, to jednak posiadają

Dokończenie na str. 8-9



t. A. Polakowski

NIE BIERZ ZE SOBĄ CZEKÓW...

Marek Adam Jaworski

WIEC jeżdżymy motorówką po porcie hamburskim, mieście samym w sobie. 100 kilometrów kwadratowych powierzchni, długość linii brzegowych — ok. 270 kilometrów. Dla czego tak wielka? Jest tu mnóstwo różnego rodzaju wykreślasów. Rocznie przybywa do portu ok. 19 tysięcy statków z 70 krajów. Dział ruch jest też duży. Spozrzegam kilka statków polskich.

Straż nad portem pełni „żelazny kanclerz” — Otto von Bismarck. Zdjęcie pomnika znalazłem później w informatorze. Opis głosi: „Żelazny” o wysokości 15 metrów stoi na 19-metrowym cokole. I jeszcze wzmianka o tym, gdzie jest pochowany. „Godne zwiedzenia — muzeum”. Daruję sobie.

Wieczorem nie mogę sobie jednak odmówić obejrzenia słynnej dzielnicy Sankt Pauli. „Hamburgtips” ostrzega: Kiedy idziesz do Sankt Pauli weź z sobą tylko tyle pieniędzy, ile chcesz wydać. Nie bierz z sobą czeków. Zamawiaj tylko z karty. Nie parkuj swego samochodu na ciemnej ulicy. Weź z sobą prawo jazdy.

I tak dalej. I tak dalej. Najlepiej to w ogóle siedzieć w domu, albo skorzystać z luksusowego autobusu z przewodnikiem. Autobus ten codziennie o godz. 20 odchodzi spod dworca głównego, zatrzymuje się przed czterema hotelami i jedzie w kierunku Sankt Pauli. Zwiedzenie kilku lokali, obejrzenie striptisu i „Sex-Show”, wypicie dwóch napoi (jakich?) kosztuje, bagatela, 60 marek. Dziękuję, nie reflektuję, wolę działać na własną rękę.

Wysiadam z taksówką na centralnej ulicy St. Pauli — Reeperbahn. Orgia świateł. Neon przy neonie. Jest godzina dwudziesta pierwsza, jeszcze nie pełnia nocy.

Skrećam w bok, chcę zobaczyć zwłaszcza słynną Herbertstrasse z oknami wystawowymi, szklanymi kajutami, w których reklamują swoje wdzięki tutejsze prostytutki. Tak, to tutaj za tym plotem z tabliczką mówiącą, że młodzieży do lat osiemnastu wstęp wzbroniony. Wątpię, aby ten zakaz był przestrzegany: ten długowłosy wyrostek, który idzie przede mną nie wygląda na więcej lat niż piętnaście!

Uliczka jest krótka, ma zaledwie kilkadziesiąt metrów. W oknach siedzą panie. W różnym wieku. Przeważnie o obfitych kształtach. Nie próbują niczego ukrywać. Pokaz gołizny. Mężczyźni przechodzą pojedynczo lub grupkami, śmieją się, wyciągają ręce, gestykulują, niektórzy znikają we wnętrzach, od czasu do czasu zapada zasłona, głośno światło. Po pewnym czasie znów się zapala i targ trwa dalej. Ani jednego policjanta. Teraz się nie dziwię, dlaczego „Hamburgtips” nie ostrzegał. Później się dowiedziałem, że nad „pokojem mieszkańców (i gości) tej dzielnicy czuwa około stu policjantów. Może chodzą po cywilnemu. Nie wiem.

Szybko zaliczyłem Herbertstrasse, na innej ulicy wstępuję do sex-magazynu. Kilku mężczyzn ogląda rozłożone na półkach czasopisma pornograficzne. Ja też oglądam, ale jednocześnie patrzę na nich: kupią czy nie kupią? Trzech wyszło i nie wydalo fenika. Co zrobili czwarti? Licho wie. Nie mogłem się doczekać, a lektura już mnie nudziła. Dookoła Wojtek.

Ale trzeba zobaczyć jeszcze jakiś lokal. Na drzwiach tabliczka: „Korn — 1 Mark”. Siadam przy bufecie na stoleczku. Jest ich tu kilkanaście, z tego bodaj cztery zajęte. Przed oczyma mam baterię alkoholi i dziewczyny z gołymi piersiami. Barmanka Pyta, o co proszę. O „korn” za markę. Dostają „dwudziestkę” wódki, saczę ją powoli i lypię okiem na ścianę po lewej stronie. Idzie film porno. Oczywiście w kolorze. Z muzyką i jękami. Kieliszek puśty, barmanka już mnie odinuje. „Co nalać?” „To samo”. Przynajmniej wiem, ile kosztuje. Tymcza-

sem obraz na ścianie się zmienia. Dwóch policjantów (na ścianie, na ścianie!) rozbiera się do rosołu (ale czapki na głowach zostają) i zaczyna na dachu samochodu z napisem „Polizei” zabawiać się z paniami. („I wy się dziwiacie, że wam na dworcu wybuchają bomby” — powiedziałem następnego dnia do moich gospodarzy).

„Dwudziestka” dwudziestką, ale człowiek ma ochotę napić się normalnej wody mineralnej. Barmanka nalewa mi szklaneczkę. „Ile płacę?” „Cztery marki”. Inaczej: dolar i sześćdziesiąt centów. Jak to się państwu podoba?

Lapię pierwszą z brzegu taksówkę i wracam do hotelu. To i owo widziałem, porównałem swoje wrażenia z wrażeniami Stanisława Reperowicza, który przekazał je czytelnikom w książce pt. „Między Łabą a Renem”. Uczciwie powołuję się na źródło, choć autor zapewne też nie czerpał informacji z autopsji. A więc w Sankt Pauli ma podobno mieszkać stale 35 tysięcy osób, w tym prawie 2500 dzieci w wieku szkolnym. W kartotekach policji obyczajowej Sankt Pauli figuruje ponad 4000 nazwisk pań w różnym wieku i różnej narodowości, które oficjalnie zawodowo uprawiają nierząd. Jest to jednak wykaz niepełny, bo znacznie większy procent kobiet uprawia prostytucję pod szyldem innych zawodów: masażystek, kelnerek, kosmetyczek, fryzjerek, ekspedientek, tancerok. Bardziej bliscy prawdy są ci, którzy liczbę tych dam określają liczbą dziesięciu tysięcy.

Nie bardzo jednak mogę się zgodzić z Reperowiczem, kiedy pisze on: „mieszkańcy Hamburga, a może nawet całego NRF, szczerzą się istnieniem St. Pauli. We wszystkich przewodnikach turystycznych, a nawet w encyklopediach mówi się o tej dzielnicy występku z pewną dumą i satysfakcją, jakby się chciało powiedzieć: Patrzcie i podziwiajcie, my i w tej dziedzinie przodujemy.

Cytowałem na wstępie ostrzeżenia „Hamburgtips”. Jest to ładnie wydany informator dla osób, które odwiedzają Hamburg. Nie zauważyłem tu ani dumy, ani satysfakcji. Ot, zwykłe stwierdzenie faktu: mamy w Hamburgu i taką dzielnicę, jak chcecie, możecie ją zwiedzić, ale uważajcie! Później kilkakrotnie w rozmowach z hamburczykami slyszalem: „Sankt Pauli to jest margines naszego miasta, a cudzoziemcy, którzy byli w Hamburgu, utożsamiają go niemal z tą dzielnicą. Jakby rzeczywiście nie było u nas niczego innego ciekawego”.

Racja. Dużo jest tu interesujących rzeczy, zjawisk. W Operze w jednym miesiącu można zobaczyć kilkanaście różnych oper. „Tosca”, „Madame Butterfly”, „Wesele Figara” itd., itd. — cały festiwal. Aż dziwiałem te szybkie zmiany. W teatrach jest już inaczej, repertuar bardziej ustabilizowany. Ceny biletów nie są zbyt niskie, można powiedzieć, że „raczej” drogie, (bilet do Opery — łoża: 70 marek!) ale mimo to do opery i do teatru trzeba dopłacać albo z kasy ogólnopństwowej albo hamburskiej. Teatry mają swoje trudne problemy, jeszcze będą o nich pisał na przykładzie teatru w Muenster, z którym zapoznałem się później dokładniej.

Zeby już skończyć z Hamburgiem, muszę jeszcze wspomnieć o dwóch wizytach: w wydawnictwie „Gruner-Jahr” i w hamburskim Urzędzie Kultury.

W wydawnictwie przyjmuje mnie Frau Huth, wyglądająca na bardzo energiczną osobę. Podkreśla, że wydawnictwo jest drugie po wydawnictwie Springera, ale w przeciwieństwie do niego nie wydaje żadnych dzienników. Zatrudnia 2300 osób, z tego 500 piszących dziennikarzy.

Najbardziej poczytnym pismem „Gruner-Jahr” jest ilustrowany „Stern”. Jedna strona ogłoszeniowa kosztuje tu 29 tysięcy marek, czyli niemal 12 tysięcy dolarów! (To informacja dla tych, którzy narzekają na ceny ogłoszeń w polskich pismach). „Stern” ma dziesięciu stałych korespondentów za granicą. W razie ważnych wydarzeń światowych ekspeduje specjalnych wysłanników, nawet po kilku do jednego kraju. Fluktuacja kadr jest bardzo mała, stąd trudno tu o zdobycie posady. Przy okazji słyszę, że konsern Springera potrafi wziąć na próbę 700—800 młodych praktykantów — adeptów sztuki dziennikarskiej, ale spośród nich zatrudnia na stałe około dziesięciu.

„Gruner-Jahr” wydaje również takie pisma jak: „Brygitte”, „Capital”, „Essen & Trinken”, „Schoener Wohnen”, „Eltern” i miesięcznik dla dzieci. Z tych wszystkich obok „Sterna” najbardziej zainteresował ten miesięcznik o jedzeniu i pić. Wiele kolorowych zdjęć, interesujące przepisy kulinarne. Na zakończenie rozmowy otrzymuję — po jednym egzemplarzu — najnowsze numery czasopism. Oj, nieźle one ważą! Sam „Stern” ma 230 stron.

W Urzędzie Kultury rozmawiam z Herr Martinem Petersem. Hamburg stanowi kraj RFN. Tutejszy minister kultury ma taką samą rangę, co np. minister kultury Bawarii. Herr Peters (Regierungsdirektor) jest odpowiedzialny za muzea i wszystkie prywatne instytucje, w tym i prywatne teatry. Takich prywatnych teatrów ma Hamburg sześć, im też pomaga się finansowo. Ponad 50 proc. całego budżetu przeznaczanego na rozwój kultury pochłaniają właśnie teatry.

Ale Herr Petersa, jak się orientuję, najbardziej interesuje dzień wczorajszy. Z dumą oprowadza mnie później po Starym Mieście, pokazuje nieliczne zabytkowe domy na Delchstrasse, które ocalały po olbrzymim pożarze w XIX wieku. Częściowo odbudowuje się je, konserwuje, wykupuje od prywatnych właścicieli, ale... krucho z pieniędzmi.

Tutaj słyszę pierwsze słowa podziwu nad odbudową Starego Miasta w Warszawie. Te sprawy nie są tu, jak się wielokrotnie przekonałem, obce.

Po dwóch i pół dnia pobytu opuszczam rannym pociągiem Hamburg. Międzynarodowy ekspres, jedynie z wagonami pierwszej klasy, zdąża do jednego z miast szwajcarskich. Pociąg jest prawie zupełnie pusty. W wagonie, w którym jadę z Frau Schulenburg, nie ma dosłownie nikogo. W całym wagonie! Dlaczego? Bilety tu są bardzo drogie. Kto udaje się blisko, do Muenster czy Bonn, woli korzystać (jeśli nie jedzie własnym wozem) z przejazdu pociągiem osobowym lub pośpiesznym, ale nie z międzynarodowego ekspresu. Gdybym był prywatnie, zapewne postąpiłbym tak samo, jak przeciętny obywatel RFN, który — jak to szybko zauważyłem — oszczędza. Umie oszczędzać. Bardziej bym się chciał tego nauczyć.

CORAZ mniej dni dzieł nas od rozpoczęcia VII Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W całym kraju odbywają się wojewódzkie konferencje PZPR. Omawiają one dotychczasowy dorobek, ustalają kierunki dalszego działania. Konferencje wybierają też delegatów na VII Zjazd, a także nowe instancje wojewódzkie PZPR.

6 bm. obradowała wojewódzka konferencja PZPR w Lublinie. Blisko 50-tysięczną rzeszę członków lubelskiej organizacji partyjnej reprezentowało na konferencji 301 delegatów. Jak wynika z referatu Egzekutywy KW, przedstawionego przez I sekretarza KW, Ryszarda Wójcika, zadania, wynikające z założeń planu 5-letniego, przemysł woj. lubelskiego wykonał na pięć miesięcy przed terminem, a rolnictwo — na rok. Inwestycje pochłonęły 34,8 miliardów złotych, tj. o 50,4 proc. więcej niż w latach 1966—1970. Szczególne znaczenie mają inwestycje związane z budową Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Głównym zadaniem lat najbliższych jest śmielsze sięganie do rezerw, do-

KONFERENCJE

skonalenie jakości i efektywności pracy, unowocześnianie wyrobów, lepsze dostosowywanie produkcji do potrzeb rynku i eksportu, ciągłe doskonalenie warunków życia społeczeństwa.

Na konferencji zabrał głos członek Biura Politycznego KC PZPR, I zastępca Prezesa Rady Ministrów, Mieczysław Jagielski.

„Dyskusja przedzjazdowa — podkreślił mówca — wyraża aprobatę dla zawartego w Wytycznych na VII Zjazd projektu programu partii na okres nadchodzącego pięcioletnia — na drugą dekadę połowy lat siedemdziesiątych. (...) Osiągnięty poziom rozwoju społecznego i gospodarczego Polski stanowi dobry punkt wyjścia do budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego w naszym kraju. (...) Szczególnie ważny będzie szybszy wzrost wydajności pracy. Wyznaczamy wysokie, ale realne zadania osiągnięcia właśnie na tej drodze 90 proc. przyrostu wartości produkcji w przemyśle. (...) Poważne rezerwy tkwią w lepszej organizacji pracy, w wyższej dyscyplinie, w lepszym wykorzystaniu czasu pracy”.

Zwracając uwagę na rolnictwo, Mieczysław Jagielski podkreślił, że chodzi o takie sterowanie jego rozwojem, aby — mimo zmieniających się warunków demograficznych — nadal podnosić jego produktywność.

„Główną drogą wzrostu stopy życiowej będzie zapewnienie bezpośredniego związku i prawidłowych relacji między ilością i jakością pracy, a wysokością płac. Wytyczne na VII Zjazd zakładają na przyszłe pięcioletnie wzrost płac realnych o 16—18 proc., a więc o tyle, o ile planowaliśmy w uchwale VI Zjazdu na bieżące pięcioletnie. Nie jest to mało, jeśli zważyć, że baza wyjściowa będzie przecież znacznie większa. Trzeba tu jednak podkreślić, że otwartość jest jedną z charakterystycznych cech kreślonych dzisiaj założeń rozwoju kraju. Opracowaliśmy i kontynuujemy strategię otwartą na nowe inicjatywy, na zagospodarowanie rezerw, na efekty dobrej roboty”.

Konferencja dokonała wyboru 35 delegatów na VII Zjazd (uprzednio sześciu delegatów wybrały konferencje zakładowe). Nowo wybrany Komitet Wojewódzki powierzył funkcję I sekretarza KW Ryszardowi Wójcikowi.

GARMONDEM

BYŁ Litwinem, kształcił się w Polsce. Jego sztuka okazała się ważnym wkładem w nowoczesną kulturę artystyczną Europy. M. K. Ciurlionis (1875—1911) przebywał okresowo — co dla nas też ważne — w Zwierzynie i Kazimierzu, gdzie ma-

lował. O mały włos nie został kierownikiem muzycznym Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego... Na dobrze rozpropagowany, uroczysty koncert z okazji setnej rocznicy urodzin artysty, zorganizowany przez Oddział Lub. Stow. Hist. Sztuki i Filharmonię Lub. w siedzibie tej instytucji pokwapilo się osób 61! Na podobnej imprezie

w lubelskim Klubie MPiK było obywateli 32, w Kazimierzu zaś 19 (w tym dwoje dzieci). Plastyków mamy w Lublinie ponad 100, historyków sztuki łącznie ze studentami tego kierunku — też koło tego, muzyków zaś trudno zliczyć (nawet gdy pominiemy szanpanów z szantanów).

IJK

ROLA NAUKI

Albin Koprucki

WYTYCZNE Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR akcentują już w samym tytule dwa podstawowe problemy, które określać będą w najbliższych latach nasz rozwój, a mianowicie — dynamizm budownictwa socjalistycznego oraz wyższą jakość naszej pracy i warunków życiowych narodu. Podporządkowane są tym dwóm dialektycznie powiązanym zadaniom wszystkie zawarte w Wytycznych zjazdowych wskaźniki i prognozy rozwoju przemysłu, rolnictwa, nauki, oświaty i kultury oraz funkcjonowania państwa i umacniania kierowniczej roli partii, doskonalenia metod zarządzania i organizacji pracy w każdej dziedzinie naszego działania. Nieprzypadkowo w Wytycznych zjazdowych tak wiele miejsca poświęca się problemom nauki, która stanowi jeden z najistotniejszych stymulatorów postępu we wdrażaniu nowych technik i technologii do procesów produkcyjnych, nowej organizacji i metod zarządzania w gospodarce narodowej, w planowaniu i socjalistycznej integracji czy wreszcie w rozwoju narodowej kultury i kształtowaniu nowych wzorców osobowych i socjalistycznych postaw w budownictwie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Szczególna rola w tym procesie przypada naukom społecznym i humanistycznym.

Ich funkcja służebna wobec narodu i społeczeństwa, tak w sferze działalności wewnątrz państwa, jak i w stosunkach międzynarodowych, wzrastać będzie w miarę dalszego rozwoju demokracji socjalistycznej, socjalistycznej integracji i pokojowej współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej.

Międzyuczelniany Instytut Nauk Politycznych, który powołany został do życia w naszym ośrodku naukowym od 1 października br., wychodząc z dotychczasowych osiągnięć i doświadczeń a jednocześnie kierując się wskazaniem Wytycznych zjazdowych, widzi swoje nowe zadania w czterech kierunkach działalności.

Po pierwsze, w zakresie badań naukowych koncentrować się będzie na badaniach teorii polityki i współczesnych stosunków międzynarodowych, kierowniczej roli partii, polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego oraz organizacji społeczno-politycznych w ustroju socjalistycznym, myśli politycznej własnej i obcej, a także następstw społecznych rewolucji naukowo-technicznej, badania w zakresie socjalistycznej świadomości społeczno-politycznej i aktywności społeczeństwa w bezpośrednim udziale w funkcjonowaniu i rozwijaniu form demokracji socjalistycznej i umacnianiu państwa socjalistycznego. Te kierunki badawcze, a jednocześnie integracja kadry naukowej w jednej jednostce w ramach Uniwersytetu — pozwolą na intensyfikację i efektywność badań, a także na dalszy rozwój naukowej kadry.

Po drugie, poprzez proces dydaktyczny w środowisku studenckim sprzyja kształtowaniu socjalistycznej kultury politycznej, umiejętności obserwacji współczesnych zjawisk politycznych i ich sa-

Doc. dr ALBIN KOPRUCKI, prorektor Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

modzielnej, naukowej interpretacji i wartościowaniu.

Po trzecie, w nierozdzielnym traktowaniu funkcji naukowo-badawczych i dydaktycznych nauk politycznych z pracą ideowo-wychowawczą i polityką partii w uczelniach ośrodka lubelskiego.

Po czwarte, swój sens działalności upatruje w ścisłym powiązaniu, nie tylko poprzez badania naukowe, z teoretyczną i ideowo-wychowawczą pracą partii. Dlatego rozwijać będziemy i doskonalić dotychczasowe formy współpracy z Komitetem Wojewódzkim PZPR w Lublinie i sąsiednich województw (WUML, Ośrodki Pracy Ideowo-Wychowawczej) itp., a także organizacjami młodzieżowymi i towarzystwami naukowymi.

Tak pojmowany sens naszych zadań i naszej działalności w zakresie wpływu na kształtowanie socjalistycznej świadomości i kultury politycznej na badanie nowych zjawisk życia społecznego, przysposabianie absolwenta uczelni wyższej do zwiększonej aktywności politycznej i społecznej w życiu narodu, do jego zaangażowania ideowego w budownictwie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego w pełni oddaje intencje Wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd naszej Partii.

UPOWSZECHNIANIE KULTURY

Zbigniew Sztejman

UCHWAŁA VI Zjazdu PZPR jak również Wytyczne KC PZPR na VII Zjazd wskazują jednoznacznie, że rozwojowi społecznemu i ekonomicznemu kraju powinien towarzyszyć harmonijny rozwój kultury. Akcentowanie tego związku jest wyrazem głębokiego przekonania, że cywilizacyjny obraz rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego nie powstanie jako automatyczny wynik postępu ekonomicznego i produkcyjnego.

Rola kultury sprowadza się zatem do współtworzenia modelu społeczeństwa socjalistycznego, rozwoju oraz kształtowania osobowości i postaw jego jednostek, budzenia szerokich aspiracji i duchowych dążeń, określania ideowych i moralnych wzorców życia oraz zasad socjalistycznych stosunków międzyludzkich, tworzenia nowych horyzontów i motywacji ludzkich działań. Na tych właśnie założeniach opiera się nasza polityka kulturalna.

W swej wypowiedzi chciałbym skoncentrować się na niektórych elementach jednego z podstawowych problemów tej polityki, mianowicie na szerokim upowszechnianiu dóbr kultury w społeczeństwie. Mówiąc upowszechnianie, mam jednocześnie na myśli realizację zasady wychowywania biernych konsumentów kultury na jej świadomych odbiorców i uczestników o coraz wyższych potrzebach. Kwestie z tym związane należy w odniesieniu do Lublina rozpatrywać zawsze w dwu aspektach:

— roli naszego miasta jako ośrodka kultury o wojewódzkim oraz ponadregionalnym znaczeniu;

— roli miasta i wszystkich jego placówek kultury jako ośrodków zaspokajania potrzeb kulturalnych miejscowej ludności oraz kształtującej się aglomeracji lubelskiej.

I w jednym i w drugim zakresie działalność kulturalna nabiera już dziś nowego wymiaru i stawia przed nami nowe, rozległe zadania w związku z rozpoczęciem budowy Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Czy nasza kultura do tych zadań jest odpowiednio przygotowana, czy będzie w stanie im sprostać? Na jakie problemy należałoby w najbliższym okresie zwrócić uwagę szczególnie?

W ciągu lat ubiegłych lubelska kultura przeszła wielostronny proces rozwojowy. Ukształtowały się tu dość prężne środowiska twórcze, powstała szeroka sieć podstawowych instytucji i placówek kultury. Działają dziś w mieście m. in. trzy teatry, „Estrada”, Filharmonia, Biuro Wystaw Artystycznych. Obok Miejskiego Domu Kultury w działalności upowszechnieniowej czołową rolę odgrywają domy kultury FSC, „Kolejarza”, „Międzyzespółdzielni”, LSM oraz liczna sieć klubów i świetlic. Generalnie stwierdzić można, że placówki te spełniają swoją rolę coraz skuteczniej, przyciągają rosnącą liczbę widzów, słuchaczy, czytelników, członków amatorskich zespołów artystycznych i oświatowych, podejmują też wartościowe, cieszące się uznaniem formy działania o dużym ładunku ideowego zaangażowania. Wymienić tu można chociażby — organizowane pod hasłem „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” — koncerty dedykowane „Ludziom dobrej roboty”, inicjatywy Teatru im. J. Osterwy zmierzające do zacieśnienia współpracy z załogą FSC i WSK Swidnik.

Teatr im. J. Osterwy jest jedyną sceną dramatyczną w Lublinie i województwie, prowadzi również działalność na terenie nowo powstałych województw. Spotyka się więc z bardzo różną widownią. Jego praca musi być zatem obliczona na zaspokojenie odmiennych potrzeb, gustów i tęsknot różnych grup społecznych. „Zamówienie” widowni należy z jednej strony zaspokajać, a z drugiej kształtować. W warunkach lubelskich teatr obok krzewienia kultury teatralnej, poprzez popularyzację najwybitniejszych dzieł klasyki narodowej i obcej, powinien jak najczęściej ukazywać za pośrednictwem współczesnej, zaangażowanej dramaturgii aktualne problemy dnia dzisiejszego, uczestnicząc w ten sposób w kształtowaniu opinii i poglądów publiczności.

Przy wszystkich osiągnięciach wielostronnej działalności kulturalnej, której towarzyszy znaczny wysiłek twórców i działaczy, obserwuje się, iż za wzrostem i stałym różnicowaniem się potrzeb kulturalnych mieszkańców miasta w coraz mniejszym stopniu nadąża rozbudowa bazy lokalowej. Jej systematyczne uzupełnianie uznać obecnie należy

ZBIGNIEW SZTEJMAN, p.o. dyrektora Państwowego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

za jedną z najważniejszych potrzeb lubelskiej kultury. Problem ten w pełni jest doceniany, czego przykładem decyzja o rozpoczęciu budowy nowoczesnego teatru i filharmonii w Lublinie.

Wskazując na niektóre istotne zmiany w zakresie poprawy bazy działalności kulturalnej, które już procentują czy procentować będą w latach najbliższych, dodać jednak trzeba, iż nie rozwiązują one całego problemu. Potrzeb zresztą stale przybywa. Pamiętajmy np. należy, że nasze prawie 300-tysięczne miasto ma zaledwie jedno kino z prawdziwego zdarzenia, że radykalnej poprawy wymagają warunki takich choćby placówek, jak domy kultury FSC i „Kolejarza”, że konieczne staje się uruchomienie w mieście studia telewizyjnego, stworzenie odpowiednich sal dla ekspozycji plastycznych. To tylko wybrane przykłady, gdyż nie jest celem mojej wypowiedzi zestawienie bilansu potrzeb.

Na jednym jeszcze problemie chciałbym zatrzymać uwagę. Otóż mówiąc o kulturze, stawiamy zwykle na pierwszym miejscu — i słusznie — kwestie szerokiej dostępności i upowszechniania dóbr socjalistycznej kultury; od tego wszak zależy kształtowanie modelu naszego socjalistycznego społeczeństwa. Niemniej jednak baczna uwaga powinna być zwrócona na rolę i rangę naszego miasta w dziedzinie tworzenia nowych wartości socjalistycznej kultury, wartości poddawanych z kolei upowszechnianiu. Myślę o środowiskach twórczych i artystycznych, których rola zasadnicza sprowadza się do pomnażania naszego dziedzictwa kulturalnego.

Wielkość, prężność, inwencja, zaangażowanie ideowe tych środowisk decydującą będą coraz bardziej o randze Lublina na mapie kulturalnej kraju. Konieczne zatem staje się bardziej zdecydowane umacnianie środowisk twórczych, otoczenie ich jeszcze pełniejszą opieką, stwarzanie jak najlepszych warunków i klimatu działania oraz wyzwianie twórczej inwencji i inicjatywy, by mogły powstawać nowe wartościowe dzieła literackie i muzyczne, realizacje plastyczne i inscenizacje teatralne, nowe formy i treści socjalistycznej kultury.

Prof. dr STEFAN ZIEMNICKI, dr TADEUSZ ORLIK, naukowcy z Katedry Melioracji i Budownictwa Rolnego Akademii Rolniczej w Lublinie.

OCALIĆ MILION HEKTARÓW

Stefan Ziemnicki, Tadeusz Orlik

WYTYCZNE KC na VII Zjazd Partii, omawiając najważniejsze zagadnienia życia społeczno-gospodarczego kraju, podkreśliły rolę rolnictwa. Między innymi znalazł się w nich postulat: *Rozwój gospodarki żywnościowej powinien zapewnić w przyszłym pięcioleciu wzrost dostaw artykułów żywnościowych na rynek o 35—37 proc. Globalna produkcja rolnicza powinna w latach 1976—1980 wzrosnąć o 15—16 proc.*

Jest rzeczą wiadomą że w ostatnich latach nastąpił szybki rozwój przemysłu, budownictwa mieszkaniowego, drogowego i górnictwa. Wywołało to zmniejszenie się arealu gruntów uprawnych. Wobec tego zaszła konieczność opracowania sposobów podniesienia plonów.

Podstawą produkcji rolnej jest gleba i woda. Bez tych dwu elementów przyrody nie ma życia. Działalność człowieka często zubożała glebę i pozwalała na bezproduktywny odpływ wody. Następstwa pokazano na zdjęciu: oto zbocze pozbawione gleby, pocięte żłobinami. Są to skutki erozji gleb problem znany już w Polsce od ponad 100 lat. Wspomina o nim Bolesław Prus w „Placówce”. Materiały do tej powieści zbierał pisarz w okolicy Nalęczowa, gdzie obserwował skutki silnych deszczów. Oto krótkie fragmenty: *Nie bój się, dam ja ci, dam!... Sprawadzę taki deszcz, taki potop, że reszta czarnoziemu wypłucze ci na gościniec albo na dworską taką. Zebysz własnymi zębami bronował i tak jeszcze z roku na rok będziesz miał coraz*

mniej pociechy. Wszystko wyjąłowie! Dalej Prus pisze, że na zboczu, gdzie ojciec zbierał po dziesięć korcy pszenicy, Slimak cieszy się, jeżeli zbierze siedem korcy żyta.

Tym to problemem zajęła się Katedra Melioracji i Budownictwa Rolniczego AR, opracowując sposoby przeciwdziałania erozji i podniesienia produktywności gleb zdewastowanych. Terenów takich jest w Polsce około miliona hektarów.

Dokończenie na str. 4

Kamena str. 3

Dokończenie ze str. 3

Prace badawcze obejmują dwa zasadnicze kierunki. Jeden to przeciwdziałanie szkodliwym zjawiskom erozyjnym i ochrona środowiska, drugi zaś — ściśle związany w pierwszym — to jak najlepsze wykorzystanie tych obszarów dla produkcji rolnej. Sprawa rolniczego użytkowania terenów falistych i ich ochrona przed szkodliwymi zjawiskami erozyjnymi była już przedmiotem wielu rozpraw naukowych i publikacji popularno-naukowych.

Obecnie, biorąc pod uwagę konieczność wzmocnienia wysiłków badawczych, Katedra wysunie na pierwsze miejsce badania naukowe w następujących kierunkach:

opracowanie ulepszonych metod prowadzenia agrotechniki na glebach nalesowych ulegających erozji;

rekultywacja terenów podkrywkowych — zagospodarowanie zwalisk po wydobyciu siarki;

opracowanie wytycznych do pro-



Fot. S. Ziemiński

jektowania zalesień i zadrzewień na terenach erodowanych.

Rozpracowanie tych problemów nie jest łatwe. Składa się na to m. in. struktura agrarna (duże rozdrobnienie gospodarstw rolnych), która w poważnym stopniu utrudnia kompleksowe zagospodarowanie przeciwoerozyjne. Niemniej jednak ich rozwikłanie w dużym stopniu może przyczynić się do podniesienia produktywności erodowanych gleb i ochrony środowiska naturalnego.

Sprawą ochrony gleb powinno być się zająć całe społeczeństwo, a przede wszystkim rolnicy, leśnicy, melioranci, którzy bezpośrednio, na co dzień, mają do czynienia z przyrodą. Gleba musi więcej rodzić, wymaga jednak lepszej opieki. Problem erozji gleb to jednak nie tylko zagadnienie rolnicze. Wystarczy wymienić osuwanie się zbocza w Sandomierzu, oraz zagrożenie skarpy Starego Miasta w Lublinie. Jest to więc problem szeroki, dlatego właśnie musi zainteresować całe społeczeństwo.

Stefan Ziemiński, Tadeusz Orlik

JAKI SYSTEM INFORMACJI?

Feliks Wyczółkowski

UCHWAŁA Rady Ministrów nr 35 uwzględnia potrzeby informacyjne administracji terenowej i czyni wojewodów organizatorami i koordynatorami poczynań w tym zakresie. Wysoka ranga nadana informacji powyższą uchwałą wynika z samej istoty zintegrowanej gospodarki socjalistycznej. Dla przykładu XXII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, w części określającej zadania partii w budownictwie społeczeństwa komunistycznego, stwierdza m. in.: *Partia będzie ze wszelkich miar przyczyniała się do wzorowej organizacji informacji naukowo-technicznej, całego systemu studiowania i upowszechniania przodujących doświadczeń uzyskiwanych w kraju i zagranicą. Nauka stanie się w pełni bezpośrednią siłą wytwórczą.*

Sprawy informacji na terenie b. województwa lubelskiego były od lat przedmiotem żywej uwagi władz partyjnych, administracyjnych oraz działa-

czy NOT. W wyniku starań stworzono organizację, która z jednej strony zaferowała zainteresowanym znaczne zasoby banku informacji, a z drugiej rozpoznała stan organizacyjny i zasoby informacyjne wszystkich odpowiednich placówek. Obecnie na terenie czterech województw istnieje dostęp do: 1 058 330 woluminów, 15 267 czasopism (w tym 7009 czasopism zagranicznych), 611 491 dokumentów w zbiorach specjalnych, 219 122 dokumentów o różnej kwalifikacji.

Należy jednak — pamiętając o centralnej roli obecnego województwa lubelskiego (jako ośrodka naukowego) — zdać sobie sprawę z nader skromnych zasobów naszych administracyjnych sąsiadów. Zatrudnienie osób o pełnych kwalifikacjach w działalności informacyjnej przedstawia się w sposób następujący:

woj. białsko-podlaskie	— 10 osób,
woj. chełmskie	— 1 osoba,
woj. lubelskie	— 227 osób,
woj. zamojskie	— 7 osób.

Specyficzną wymowę mają także ogólne koszty działalności informacyjnej w roku 1975. Kształtowały się one w ten sposób:

woj. białsko-podlaskie	— 576,8 tys. zł,
woj. chełmskie	— 185,3 tys. zł,
woj. lubelskie	— 14 003,8 tys. zł,
woj. zamojskie	— 324,6 tys. zł.

Jest rzeczą oczywistą, że władze województw: białsko-podlaskiego, chełmskiego i zamojskiego musiały w pierwszym rzędzie poświęcić czas i energię na zorganizowanie nowej infrastruktury władzy. Z drugiej strony nowoczesne funkcjonowanie władzy bez odpowiedniego systemu informacyjnego, leżącego poza sprawozdawczością GUS, jest co najmniej utrudnione i w jakiś sposób nie-

Inż. FELIKS WYCZÓŁKOWSKI, przewodniczący oddziału Polskiego Komitetu Przetwarzania Informacji w Lublinie

kompletne. Odnosząc się z całym szacunkiem do ewentualnych decyzji poszczególnych gospodarzy województw, wydaje się na miejscu zaproponowanie jednego z następujących rozwiązań.

1) Szybkie przeznaczenie znacznych środków ludzkich i materialnych na stworzenie wojewódzkiego systemu informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej. W takim wypadku ośrodek lubelski jest gotów służyć, w każdej chwili, najdalej idącą poradą i pomocą.

2) Zrezygnowanie z własnego systemu i włączenie problematyki wojewódzkiej do systemu lubelskiego. Przy takim rozwiązaniu byłoby racjonalne poszerzenie tak powstałego systemu o województwo siedleckie. Lubelski ośrodek informacyjny działałby na terenie makroregionu — z tym, że byłby zobowiązany do organizowania podsystemów informacyjnych w poszczególnych województwach.

Informacja naukowa, techniczna i ekonomiczna nabierać będzie z czasem nie tylko znaczenia, ale stanie się nieodzownym instrumentem zarządzania, poprzez zastosowanie elektronicznej techniki obliczeniowej. Analizując Wytczne na VII Zjazd PZPR łatwo dojść do takiego wniosku. Społecznym obowiązkiem działaczy, a szczególnie inżynierów i techników, jest studiowanie problemu i aktywna praca nad wcielaniem w życie treści Wytcznych, które dają wizję przyszłości zhumanizowanej, ale też skomputeryzowanej.

KAZIMIERZ objawił mu się w roku 1918. Wtedy to potomek słynnej w dziejach Warszawy rodziny, władającej w latach 1838—1944 firmą szewską, zaopatrującą najbardziej wymagające rynki świata z dworami królewskimi włącznie, miał lat 14 i jako młodzieńki legionista przebywał na Lubelszczyźnie.

Jako dziecko rysował ludziki z głowami o dymiących kominach, jako uczeń gimnazjum im. Reja — karykatury psychologiczne. Architekturę studiował na Politechnice Warszawskiej pod kierunkiem Stanisława Noakowskiego; indywidualność profesora wywarła nań wielki wpływ, niejednokrotnie podkreślał, jak wiele mu zawdzięcza, a szło tu nie tylko o warsztat, ale także o postawę wobec życia, świata, sztuki.

Był ilustratorem książkowym, wygrywał konkursy YMCA, uprawiał taekwondo, walczył w kampanii wrześniowej, w oflagu w Woldenbergu projektował i wykonywał scenografię dla teatru kukielek, po wojnie pracował w Wojskowym Instytucie Naukowo-Wydawniczym, opracował wydany w roku 1948 „Krótki słownik terminów lotniczych”, rok później ukazała się z wielkim talentem popularizatorskim napisana — sam był pilotem — książka „Lotnictwo bez cudów”. Pasjonował się archeologią, brał udział w pracach wykopaliskowych prowadzonych przez Polską Akademię Nauk i sporządzał ich rysunkową dokumentację. Był tłumaczem. Interesował się wielkimi kulturami przeszłości i etnografią Pod-

hala. Rysował i malował. Ołówkiem, pacykiem, akwarelą, winawilem, tuszem.

Książki pamiątkowe wystaw — czy może być bardziej skonwencjonalizowana literatura niż wpisy tu dokonywane? I czy świadczą one o wystawie, którą upamiętniają, czy o swych autorach raczej? Oto, sądzę, wdzięczny temat dla socjologia, który chciałby się zająć zbiorowością zwiedzających galerie i muzea. Z konwencjonalności owej Stanisław Hiszpański — sam niekonwencjonalny — zdawał sobie sprawę, sam wpisywał się jako pierwszy do ksiąg ostatnich swych wystaw z właściwym sobie poczuciem humoru i autoironii: prosząc?, żądając?, usiłując wymusić? — nie pochwały, uchwaj Boże, a szczerłość. Pochwał wymuszać nie musiał, chociaż uznanie instytucjonalne przyszło późno — wystawa jubileuszowa w Warszawie, nagroda ministra Kultury i Sztuki, wystawa w Muzeum Archeologicznym we Wrocławiu w roku 1973 i przed rokiem wreszcie wystawa w Muzeum Kazimierza Dolnego, która stała się jego ostatnią ekspozycją i do której przewijował szczególną wagę.

Kazimierz bowiem był jedną z Jego miłości, poświęconych wieloma pracami. Kazimierz to była dla niego legenda młodości, a również — po części — naiwne to było zapewne przekonanie — oaza wartości czysto ludzkiej, które cenil, których sam był nosicielem, a które trudno było mu odnaleźć wśród zgiełku, zawiści, anonimowości wielkiego miasta. Drobne incydenty dowodzące bezinteresownej życzliwości, czy zwyczajnej uczciwości związały się w jego pamięci z tym właśnie miejscem — było to dla niego miejsce jakby idealne, z którego czerpał swą

Malować

wiarę w ludzi. Kochał ten skrawek ziemi, lecz nie dał mu się zdominować. Miał Kazimierz swój własny, niezależny od mód, przyznawał się do niego nie ze snobizmu. Rysował i malował to miasteczko inaczej. A nazywał sam siebie „malarzem od wychodka”. Śmieszyla go wszelka poza. We wstępie do katalogu wystawy kazimierskiej pisał: „Gdy wspominał Kazimierz, nie potrafię czasem nie być kpiarzem. Bo człek mógł tam wewnątrznie pękać ze śmiechu patrząc, jak odpowiednio na Malarzy ucharakteryzowane Postaci płci obojga marszczyły przy sztalugach swe brwi jowiszowe wpatrując się w któreś z kazimierskich cudniek, a na ich płótnach wykwiłtało często coś burego i nieokreślonego, ale genialnego. Stwierdziłem już wtedy i postuluje do dziś stanowczo, że niezbędną dla Kazimierza, a niezbyt kosztowną inwestycją powinno być wystawienie słupków z tabliczką „stąd malować”.

W dorobku Hiszpańskiego „kazimierki”, jak je nazywał, zajmują osobną i ważną pozycję. Powstało ich około 80, rysowanych „z natury” ołówkiem, pokazujących Kazimierz od strony podwórka, ruder, suszącej się bielizny; utrwał na nich nie tylko architektura, lecz również charakterystyczne scenki rodzajowe. Część z tych rysunków, posiadających oprócz wartości artystycznych — zdarzają się wari-

tych szkiców i słabsze — znaczną wartość ikonograficzną, opracowywał później Hiszpański w tuszu; nabierały wówczas zupełnie nowego blasku. W tej technice potrafił uzyskiwać niezwykle efekty światłocienia, precyzję i wyrazistość, a zarazem subtelność.

Jego stosunek do Kazimierza znalazł również wyraz w cyklu siedmiu prac barwnych, wykonanych akwarelą, winawilem i tuszem w ostatnich latach życia. Cykl ów, zatytułowany „Zaczarowany Kazimierz”, na który składają się „Jeże”, „Dziadus”, „Zwierzątko z Celejowskiej”, „Kominy”, „Pegaz”, „Esterka” i „Koty”, to malarstwo, w którym odnaleźć można charakterystyczne cechy twórczości Hiszpańskiego — bogactwo plastycznej wyobraźni, baśniowość, poetycką groteskę, dystans do przedstawianego świata i siebie samego zarazem, dowcip i literacką anegdotę. Twórczość Hiszpańskiego zawsze była zresztą w pewnym sensie fabularna, była — jak sam to formułował — bardziej rodzajem literatury podawanej wizualnie, niż dziełem czystej plastyki „samej dla siebie”.

Szczególne zainteresowania przeszłością znalazły swe odzwierciedlenie w cyklach: „Odyseja”, „Eneida”, „Legenda sumeryjska”, „Bogowie słowiańscy”, „Bigos staropolski”, „O Waleriuszu Udałym”. Umilowanie historii, głęboka erudycja nie pociągały za so-

GARMONDEM

ZESZYTOWE „kryminały” z serii „Ewa wzywa 07...” wychodzą w nakładzie stutysięcznym, a przeczytane krążą między ludźmi. Zyskują więc poczytność równą niemal poczytności elementarza i sprawa jest poważna, choć nieskomplikowanej rozrywce ma służyć. Bo służąc rozrywce, mają „kryminały” te dawać równocześnie najprostszą nawet, ale jednak informację o pracy naszej milicji. Tymczasem roi się w nich od głupot najrozmaitszych, jak ta, że komenda powiatowa prowadzi śledztwo w sprawie o morderstwo (Kazimierz Sławiński, „Zbrodnia rodzi zbrodnię”, Warszawa 1974), tymczasem wiadomo, iż takie śledztwo mogła prowadzić co najmniej komenda wojewódzka. W innej znów książeczce (Maria Osia-dacz, „Trop wiedzy w historię”, Warszawa 1974) „ustalono (na str. 16), że sprawca użył pistoletu parabellum 7,62 mm”. Tyle tylko, iż parabellum ma kaliber 9 mm, a niemieckie pistolety, do których ta broń należy, w ogóle nie posiadały kalibru 7,62; m. in. miały natomiast kaliber 7,65. I jak tu wierzyć kobietom? Rozumiem, że „Iskry”, wydawca książeczek, nie musi posiadać redaktorów — kryminologów, ale niechby przynajmniej do-bierały bardziej solidnych auto-rów. Od dawna wiadomo, że szczegół, detal fabularny w „kryminale” musi grać absolutną werystycznością, wtedy wybacza się uproszczoną z konieczności psychologię.

pod

NAZWISKO doc. dr. habilitowanego Michała Lesiowa jest znane lubelskiemu czytelnikowi przede wszystkim przez informacje dotyczące ukraińskich wydarzeń kulturalnych i literackich. Co się dzieje u naszego wschodniego sąsiada, wiemy głównie dzięki skrupulatnej działalności docenta, który od szeregu lat systematycznie prowadzi przegląd ukraińskich aktualności w ruchu wydawniczym. Jest też Michał Lesiow dyrektorem Instytutu Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej, kierownikiem Zakładu Języka Rosyjskiego UMCS, pracownikiem naukowym i dydaktycznym. Przez 20 lat pracy na jednej uczelni położył wiele zasług dla rozwoju życia umysłowego w naszym mieście.

„Język dramatów zachodnio-ukraińskich XVII wieku”.
— Czy tylko ukraińskimi sprawami pan docent się zajmuje?
— Przeważnie, ale nie wyłącznie. Moją habilitacją była praca „Terenowe nazwy własne Lubelszczyzny”, wydrukowana zresztą przez Wydawnictwo Lubelskie. Jest taka nauka, nazywa się mikrotoponimiami. Obejmuje nazwy pól, lasów, łąk i w ogóle tzw. małych elementów w terenie. Tego właśnie dotyczyła moja praca. Zresztą nie można zajmować się językiem ukraińskim bez uwzględnienia zagadnień sławistyki w ogóle, tak więc muszę i ja poruszać się po obszarze dziś szeroko zakrojonym. Ma to również pewien wpływ na badania języka polskiego. Nie kto in-

40 nauczycieli. Wykładowca jest przeciętny. Druga trudność, to studia zaoczne. Nie byliśmy na taką formę kształcenia przygotowani. Dla studentów zaocznych nie mamy podręczników, staramy się je zastąpić wydawnictwami odpowiednich przewodników metodycznych i skryptów. Wyszy już przewodniki dla takich przedmiotów, jak gramatyka opisowa języka staro-cerkiewno-słowiańskiego (prof. dr Paweł Smoczyński) i wstęp do językoznawstwa (dr Maja Szymoniuk). Wszystko to jednak nie jest wystarczające. Będziemy musieli wkrótce doprowadzić do znacznej poprawy w tej dziedzinie.

— Czy Instytut miewa kontakty z uczonymi radzieckimi?

— Nawet liczne. Przez te 12 lat tak w zakresie językoznawstwa, jak i literaturoznawstwa poważną pomoc okazali nam specjaliści radzieccy z różnych ośrodków naukowych Rosji, Ukrainy, Estonii, Białorusi i Litwy. Wymienić tu należy doc. Ewelinę Wojnową i prof. Iwana Wiszniewskiego ze Lwowa, Pawła Sigalowa i doc. Walerego Biezbowa z Tartu, doc. Andrzeja Mireckiego z Leningradu, doc. Swietlanę Prochorową z Mińska, doc. Swietlanę Fieninę z Moskwy i doc. Pawła Iwinskiego z Wilna. W bieżącym roku akademickim rozpoczęła pracę w Instytucie doc. Lilla Bykowa — specjalistka w zakresie językoznawstwa. Oczekujemy na specjalistę od literatury.

— Panie docencie, może kilka słów na temat prac naukowych prowadzonych przez Instytut?

— Aktualnie przez pracowników Instytutu prowadzone są badania w zakresie takich tematów, jak gramatyka porównawcza języka rosyjskiego i polskiego (fonetyka, morfologia, składnia, frazeologia), dialektologia wschodnio-słowiańska, historia języka staroruskiego, rosyjskiego i ukraińskiego, onomastyka słowiańska, gramatyka opisowa języka rosyjskiego, stylistyka. Nasi literaturoznawcy opracowali problemy historii literatury rosyjskiej wszystkich prawie okresów. Poważne miejsce zajmuje tu sprawa wzajemnych stosunków literackich rosyjsko-polskich. Swoje prace naukowe lubelscy drukują w wielu czasopiśmie krajowych, a czasem zagranicznych. Było też kilka wydań oddzielnych. Na Międzynarodowy Kongres Słowistów w Warszawie, który odbył się w roku 1973, nasz Instytut wydał zbiór prac w ramach Annales UMCS, w druku znajdują się prace wygłoszone z okazji 10-lecia rusycystyki lubelskiej. Przygotowywane są do wydania wspólne tomy prac sławistów lubelskich i olomunieckich. W trzech rocznikach „Lubelskich materiałów neofilologicznych” (lata 1972—1974) dużo miejsca zajęły artykuły rusycystów na tematy językoznawcze, literackie i metodyczne.

Rozmawiał Z. M.

RUSYCYSTYKA NA UMCS

Rozmowę z docentem zaczynamy od pytania o jego czasy jeszcze studenckie.

— Magisterium otrzymałem w roku 1955 pracując pod kierownictwem prof. Tadeusza Brajerskiego. Tak się złożyło, że profesor zacząwszy jako filolog klasyczny, stał się polonistą, ja natomiast z polonisty przekształciłem się w rusycystę. Praca magisterska dotyczyła gwary wsi Huta Stara w byłym powiecie buczackim. Z pracy tej powstało parę oddzielnych szkiców, które zostały opublikowane przez Komisję Językową Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Są to: „System fonetyczny gwary hutniańskiej” oraz „Uwagi o fleksji i składni gwary hutniańskiej”. W latach 1955—1956 pracowałem pod kierownictwem prof. Nitscha w pracowni atlasu gwar języka polskiego. Stykałem się też z profesorami Kuryłowiczem i Lehr-Splawińskim. Napisałem małą rozprawkę pod tytułem w przeciwieństwie do tamtych oddalonym od profesjonalnej sztywności: „Czy imię Klimont jest świadectwem istnienia liturgii wschodniej w Polsce?” To było drukowane w czasopiśmie „Onomastica” w roku 1957.

— A doktorat?

— Pracę doktorską napisałem w roku 1960 w Kijowie, obroniłem w roku 1962 na Uniwersytecie Warszawskim. Temat:

ny, tylko prof. Nitsch twierdził, że znajomość języków ukraińskiego i czeskiego jest konieczna dla znajomości genezy polskiego, a prof. Urbańczyk odszukał pewien fragment z XVI, czy XVII wieku — już nie pamiętam dokładnie — gdzie jest powiedziane, że mówienie po polsku z ruska było modne, co świadczyło, że ten, kto tak mówił, „daleko bywał i dużo widział”. Wzajemne związki języków słowiańskich — to mnie głównie interesuje.

— Rusycystyka lubelska ma 12 lat. Jakie główne sprawy z nią związane widzi pan docent?

— Rusycystyka na UMCS od roku 1963 rozrosła się niespodziewanie. Na studiach stacjonarnych kształcą się ponad 370 studentów, na zaocznych ok. 290. Ponadto prowadzone są wspólnie z Instytutem Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych przy kuratorium studia podyplomowe oraz kursy przygotowawcze dla nauczycieli pracujących. Rusycystyka lubelska to również ośrodek prac naukowo-badawczych, wykraczających niekiedy poza problemy czysto rosyjskie. Zakres jak widzimy — spory. W tych warunkach istotną trudność sprawia nam niekorzystny stosunek ilościowy studentów do wykładowców. Na 660 studentów przypada tylko

jak Hiszpański

Bohdan Zadura

ba jednak zubożenia na sprawy współczesne. „Dyrektor i sekretarka”, „Narada redaktorów” czy „W kawiar-

ni” uderzają trafnością obyczajowej obserwacji i psychologicznej analizy, dowodząc jednocześnie znakomitego

operowania linią. „Tradycyjalny”, „przedstawiający” Hiszpański, programowo nie zrywający więzi z naturą, potrafił przecież nagiąć ową naturę do swych własnych celów, potrafił deformować i modelować rzeczywistość, w żartobliwym zaś cyklu „Schizolemie” walory czyste plastyczne doszły do głosu w formie niejako „czystej”.

Była to twórczość komunikatywna; choć odczytanie wszelkich jej uroków, zrozumienie ingerencji autora w tkankę mitów, które przedstawiał, wychwycenie wszystkich smaczków wymagało od widza solidnej humanistycznej edukacji, dawała przecież radość oczom. Wśród wpisów w księgach pamiątkowych wystaw Hiszpańskiego są dwa, wyczerpujące jak gdyby charakterystykę jego osobowości. „Chciałabym malować kiedyś jak pan Hiszpański” — skreślone dziecięcą ręką, ujmujące swą bezpretensjonalnością, i „Takie sny mogą śnić się tylko dobremu człowiekowi” — odkrywające najistotniejszą chyba cechę charakteru Hiszpańskiego: dobroć.

Jednym z zadań sztuki, jedną z racji jej istnienia jest, myślę, oswajanie rzeczywistości, nadawanie jej ludzkiego sensu. Taka była cała twórczość Hiszpańskiego. Pełen pokory umiał patrzeć na to, co kochał, z dystansem i ciepłym humorem. W jego pra-

cach bogowie, mityczni herosowie mają ludzkie słabości, święci — człowieczy wymiar. Obrazy o tematyce religijnej, jakie namalował, odznaczają się tym samym — emanuje z nich psychologiczna prawda, prostota i ludzkie ciepło. Taki jest „Sw. Franciszek”. Nie ma natomiast u Hiszpańskiego nic z dewocji, mawiał, że wierzy głęboko, iż Bóg ma poczucie humoru. Szczególnie miejsce w tej grupie prac zajmuje „Ukrzyżowanie”, ujmujące prostotą, oszczędnie, ascetycznie niemal, gdzie na drugim planie płoną światła w oknach wielkiego współczesnego miasta. Ten obraz, namalowany w roku 1963, przywodzący na myśl film Wajdy według powieści Bułhakowa, jest zarazem jakby kluczem do zrozumienia roli, jaką w twórczości Hiszpańskiego odgrywało nawiązanie do przeszłości. Wynikało z przekonania o tym, iż aby zrozumieć kim jesteśmy, musimy sięgnąć do źródeł.

Stanisław Hiszpański zmarł w Warszawie 15 lutego 1975 r., przeżywszy lat 71. Tym, którzy znali młodzieńczość jego serca i umysłu, trudno uwierzyć w ów ósmy krzyżak na kartku. Nekrolog wydrukowany w „Życiu Warszawy” 7 marca kończył się zdaniem: „Pamiętając o tych wszystkich, z którymi już nie mógł się pożegnać, Mąż prosił o przekazanie im pozdrowień”. Ta prośba — myślę — najlepiej charakteryzuje sylwetkę tego niezwykłego, pełnego godności, przyjaznego ludziom artysty i nie wymaga żadnych komentarzy.



Stanisław Hiszpański — DOM PRZY LUBELSKIEJ 7.

Fot. H. Dębaki



Tadeusz Chabros — zastępca dyrektora Przedsiębiorstwa Upo-



Zbigniew Frac — zastępca dyrektora Przedsiębiorstwa Upo-
wszechnienia Prasy i Książki „Kuch”



Mieczysław Kurzątkowski — wo-
jewódzki konserwator zabytków



Maria Wilińska — nauczycielka
matematyki w Zespole Szkół Za-
wodowych nr 16.



Zygmunt Mikulski — z redakcji
„Kamena”

Fot. J. Trembecki

Jak się mieszka

w Lublinie?

Dokończenie ze str. 1

nakże zaprzeczyć się nie da, że i my przecież odczuwamy stany neurotyczne współczesnego świata, że i nam jest coraz ciężej. Wynikałaby potrzeba poszerzenia frontu urzędów i to się niewątpliwie stanie, ponieważ miasto wzrasta w substancję urbanistyczną, sieć sklepów i usług, nawet widzimy pewien postęp w sprawności aparatu administracyjnego, natomiast niepokojącym dysonansem tkwi jedno: nie postępujący równoległe do wyżej wymienionych faktów rozwój życia intelektualnego. Poza tym względem jest coś w samej atmosferze społecznej, co kładzie się niepokojącym hamulcem na inicjatywach, próbach, zamierzeniach. Stałoby się bardzo niekorzystnie, gdyby biologiczny organizm miasta uzyskał stan wzorcowy i pomyślny warunki rozwoju ze szkodą dla narządów myślenia i odczuwania. Myślę, że ten aspekt zagadnienia znajdzie miejsce w naszej rozmowie.

T. Chabros: Powiedziałbym, że pierwszym zadaniem na dziś jest znalezienie tego kłębka, z którego mogą się rozsunąć pasma inicjatyw. Gdzie ten kłębek? Odpowiem wyraźnie: nie w instytucjach. Instytucja jest ciałem administracyjnym w miarę nieruchawym, tak obciążonym czynnościami resortowymi, że na ten dodatkowy i wspierający akt energii pozarządowej nie zawsze może się zdobyć. Natomiast możliwość działania widzę w ludziach, bądź pojedynczych, bądź zespolonych w grupy. Tylko nie nazywajmy działaczem pracownika, który swoje służbowe zadania wykonuje nawet na celującego. Od tego ma pensję, od tego ma list gratulacyjny. Natomiast instytucja już wiele dokaże, jeżeli w zakresie swego działania zdobędzie siłę na wydarzenie godne szerszej uwagi. Niech lubelski teatr choć raz na rok da przedstawienie, o którym będzie głośno w Polsce, środowisko plastyczne — choć jeden taki plener, filharmonia — choć jeden koncert, muzeum — jedną wystawę. Należy tworzyć ośrodki skupienia energii, a my na odwrot: tracamy nawet to, co się nam kiedyś powiodło. Dziesięć lat temu w puławskich Azotach zorganizowano plener plastyczny z myślą kontynuowania imprezy przez lata następne. Słuszna myśl upadła. Plener okazał się efemerydą jednego roku. Zaprzestano też szansę związaną z festiwalem piosenki partyzanckiej w Kraśniku. Festiwal miał być imprezą ogólnokrajową, obecnie jest wydarzeniem wojewódzkim. Gdzie przyczyna? Dlaczego pojedynczy ludzie, jeśli nawet zyskują pomyślny rezultat, nie otrzymują wsparcia ze strony instytucji właśnie mogących się przydać w tej roli sekundującej? To jest też wznacznik tego jak nam się żyje w Lublinie.

Z. Frac: To prawda. Imprezy, które się upamiętniły, zostały zorganizowane przede wszystkim w oparciu o czynnik pozainstytucyjny. Sympozjum puławskie było dziełem jednego człowieka, ówczesnego dyrektora Azotów, Mieczysława Kołodzieja. Ale przez to właśnie istnieje zapotrzebowanie na

wiązanie inicjatywy jednostki z inicjatywą społeczną. Kilka lat temu rzucano hasło wzywające do zacieśnienia związków między działalnością kulturalną i artystyczną a ośrodkami robotniczymi. Tak. Przerwał jest czynnikiem kulturotwórczym. Inna rzecz, że na Lubelszczyźnie nie jest on jeszcze na tyle rozwinęty, by dało się to wyraźnie odczuć. Tu miejsce na myśl, którą chciałbym przedstawić nie jako suplement do uwag poprzednio wyrażonych, ale jako wyraz mojego najgłębszego przekonania: za mało zwracamy uwagi na wartości kulturowe typu technicznego. W doborze jakości zatraciłmy kryterium. Nagminnie np. prezentujemy folklor, a więc postać kultury już dziś anachroniczną, pozbawioną swego socjo-obyczajowego podłoża, które znikło wraz ze zmianą warunków ekonomicznych, natomiast nie szukamy modelu człowieka kulturalnego czasów coraz bardziej zbliżających się do wieku XXI. Jest chyba zachwianiem proporcji, jeśli częściej znajdujemy kogoś, kto na pamięć przytoczy pewną ilość ulubionych przez siebie wierszy, a nie potrafi naprawić lekko uszkodzonego telewizora.

T. Chabros: Nie stawiałbym znaku rozdzielności między kulturą humanistyczną a techniczną. Ta druga weszła w życie jakby niepostrzeżenie, wraz z procesem przemiany najbliższego otoczenia. Korzystanie z samochodu, telewizora, nowoczesnego sprzętu w gospodarstwie domowym działa samoczynnie i bardziej jeszcze będzie działało na rzecz nabycia orientacji w świecie towarzyszącej nam fizyki. Natomiast potrzeba wzmocnienia wartości humanistycznych w przemyśle wymaga celowego działania i nad tym warto się zastanowić. Nawet całkowicie zautomatyzowana kopalnia „Jan” nie obejdzie się bez człowieka. Nie możemy dopuścić do jakiegos technicznego automatyzmu, w którym istota ludzka zaczęłaby się coraz bardziej błękać, jak to zresztą widać już w grze przesadnie rozwiniętych sił ekonomicznych i cywilizacyjnych na Zachodzie. Robotnik nie może być częścią maszyny. A ten problem przez fakt powstania zagłębia węglowego coraz bardziej się do nas przybliża.

Z. Frac: W ogóle nieco futurologii w naszym nie tylko rozważaniu, ale również — tej skróconej — w postępowaniu się przyda. Ludzie mający korzyść z dóbr kultury roku dwutysięcznego już chodzą po ziemi. Może by się zastanowić, jak im się będzie żyło w Lublinie?

M. Wilińska: Z perspektywy szkolnictwa cokolwiek na to spoglądamy. Za 13 lat — w roku 1988 — rozpoczynający dziś naukę pierwszy absolwent szkoły technicznej pójdzie do zawodu. Staramy się, by był to pracownik wykwalifikowany, odpowiadający potrzebom nowoczesnego przemysłu. Na takich jest zapotrzebowanie, takich ma na uwadze reforma szkolnictwa. Wiele techników przekształca się w licea zawodowe. Jest to posunięcie organizacyjne korzystne, ponieważ w ten sposób powstające jednostki szkolne zyskują potrzebne wyposażenie techniczne: magnetofony, radia, telewizory. Mam tu co najwyżej pewne zastrzeżenie — natury terminologicznej. Mianowicie, jeśli uczelnia posiada nazwę „Zespół Szkół Zawodowych” z do-

datkiem odpowiedniego numeru nie to nie mówi o jej charakterze, o jej profilu dydaktycznym. Nie wiadomo, czy jest to dawne technikum chemiczne, czy ekonomiczne. Fakt ten powoduje trochę jeśli nie nieporozumień, to na pewno utrudnień.

Jeśli chodzi o zawód, który reprezentuję, muszę powiedzieć, że dostarcza mi wiele osobistej satysfakcji. Zresztą nauczycielem nie można być inaczej niż „osobiście”. Mieć zainteresowanie wykraczające poza normy przepisem ustanowionych obowiązków. Nie raz przyjdzie na lekcję mimo lekarskiego zwolnienia. Mówię to zresztą nie tylko w swoim imieniu. Uważam, że wykładowca — szczególnie wykładowca matematyki — jest głównym czynnikiem warunkującym stan wiedzy w zespole uczniowskim. Piątkę, którą otrzymał mój uczeń, uważam za piątkę własną. Przepraszam, jeśli to zabrzmia zbyt samochwaleczo, ale cztery dyplomy z matematyki uzyskane przez moich uczniów ze szkoły przecież nie o tym na chylenie dydaktycznym dają mi zadowolenie, bo afirmują moją metodę wykładową.

Z. Mikulski: Ale ja wciąż oczekuję wsparcia w mojej niedoli. Zresztą czy tylko mojej? My, lublinianie, nie umiemy korzystać ze środków komunikacji miejskiej. Z tego powodu, że jeżdżi nas dużo, jeździmy chaotycznie. Wejście, wyjście — to nas nie obowiązuje. Zastanówmy się, czy nie lepiej wrócić do dawnych, dobrych tradycji. Jeśli w trolejbusie będzie ruch tylko jednokierunkowy, unikniemy przeciskania się, zderzeń i tych wszystkich nieprzyjemnych rzeczy, którymi obdarza nas współczesność, a do których niemal wiążkę dorzucamy z własnej ochoty. A ruch pieszy, a kolejki, a telefoniczne rozmowy na temat ondułacji...

M. Kurzątkowski: Co do trolejbusów, jest to zjawiska nie tylko lubelskie. Trzeba jednak zauważyć, że inaczej się to przedstawia o godzinie szóstej rano, kiedy do pracy jadą robotnicy, inaczej o ósmej, jeszcze inaczej o dwunastej. Niedziela to w ogóle inny problem. Chociaż nie można tu znaleźć całkowicie uzdrawiających rozstrzygnięć, trzeba zauważyć, że my, Polacy, w ogóle mamy braki w dyscyplinie społecznej, a lublinianie pod tym względem są Polakami specjalnie reprezentatywnymi. Ale łączy się to również z oczywistym faktem demograficznym: wielki napór ludności. Napływowych jest więcej w naszym mieście niż autochtonów. Zmiany ilościowe zachodzą — jak dotychczas — stale. Kwestia więc w tym, czy w Lublinie jego nowi mieszkańcy znajdują jakiś czynnik stabilizacji. Żeby każdy czuł się u siebie. Poczucie więzi z miejscem zamieszkania to element ważny dla obu stron. Tylko tak mogą powstać korzystne nawyki. Proszę sobie wyobrazić, że najstarsza filia biblioteki Lopacińskiego, mianowicie ta, która mieści się w Trzubale, ma czytelników mieszkających aż na Brohłowicach. Co to znaczy? To znaczy, że ludzie do swojej biblioteki tak przywykli, iż chodzą do niej nawet po zmianie adresu i to z dość daleka. Oby podobna więź dała się zauważyć w skali grup, środowisk, całego miasta i to na płaszczynie nie tylko nawyków, ale również merytorycznego działania.

T. Chabros: Chcąc nie chcąc wra-

camy do problemu integracji. Ale co mamy integrować, jeśli się poszczególne środowiska wzajemnie nie szanują? Jak dokumentować współpracę i wynikające z niej osiągnięcia, jeśli w nas ciągle pokutuje kompleks prowincji? Kiedy potrzeba prelegenta, zapraszamy kogoś z Warszawy. A to nie prawda, że oni wiedzą więcej. Oni tylko częściej jeżdżą za granicę. A my nie chwalimy się nawet tymi, którymi moglibyśmy się pochwalić. Nie bez winy jest pod tym względem również „Kamena”.

M. Kurzątkowski: Integracja ma dwa oblicza: jedno oficjalne, drugie istotne. Mówiło się swego czasu że do integracji lubelskich środowisk twórczych potrzebny jest własny lokal; stała się nim „Nora”, ale przecież nie od lokalu zależy integracja. Gdyby lubelskim działaczom kultury, przedstawicielom środowisk twórczych zależało na prawdziwej integracji, dzień w dzień zapełniali by salę kawiarni „Lublinianka” do tego stopnia, że dla innych nie znalazłoby się miejsca. W ten sposób problem integracji przestałby istnieć. Istniałby fakt. Jama Michalikowa nie powstała na drodze administracyjnej. Tymczasem nie kontaktujemy się nawet na terenie profesjonalnym. Nie widzimy się na wystawie plastycznej, na odczycie, w filharmonii, w teatrze.

M. Wilińska: Skoro zdarzają się takie przedstawienia jak „Miesiąc na wsi”...

T. Chabros: Właśnie. Kto powiedział, że teatr istnieć po to, by panowały w nim sielankowe stosunki? Istnieje po to, by wyraziła się w nim myśl artystyczna, a spiecia i napięcia towarzyskie będą w nim po wieczne czasy ciągnąć się zresztą — darujcie styl — od zarania jego dziejów.

M. Wilińska: Ale dla sprawiedliwości dodajmy, że publiczność jest jednym z zasadniczych funkcyjów osiągnięć artystycznych teatru, więc jeśli tak rozwołowi swojej placówki towarzyszy, część winy spada i na nią.

Z. Mikulski: Proszę państwa, powiedzieliśmy sporo „do słuchu” naszemu miastu. Można by jeszcze więcej, gdyby chodziło o zapis tylko w jednej rubryce. Ale tak z ręką na sercu: czy chcielibyśmy mieszkać w innym mieście?

T. Chabros: Chwalić Lublin mogą tylko ci, którzy go nie bardzo kochają. Krytykować to znaczy chcieć naprawić. Dlatego ja zawsze chętnie ponarzekam na to miasto z kolegami, ale nie z kimś, kto chce w nim widzieć tylko ujemne strony. Jeśli rozmowa wychodzi z pozytywnej troski, jestem do takiej rozmowy partnerem.

Z. Frac: Niedawno miałem spotkanie z pewnym starszym, nie mieszkającym już w Lublinie człowiekiem, dla którego ulica Mariana Buczka jest jeszcze ulicą Zamojską. To cingle jest jego Lublin.

M. Kurzątkowski: Lublin jest naprawdę miastem wyjątkowej i niezwykłej urody. I ten star i ten który dziś powstaje. Pokażcie mi drugie 300-tysięczne miasto w Polsce, z którego centrum widać pejzaż wiejski, a już emigruje.

Z. Mikulski: To znaczy — zostanie pan na miejscu. My wszyscy, którzy tyle procesujemy się z grodem nad Bystrycą, w gruncie rzeczy prowadzimy swój rodzinny. Nie znaczy to jednak, że owe dzienne rodaków ze swoim miastem utarczki mają się kończyć „kochajmy się”. Pragniemy poprawy, pragniemy lepszej lubelskiej rzeczywistości i w tej intencji niejednokrotnie się jeszcze spotkamy. Teraz chciałem podziękować za obecność nie tylko w centrum lubelskich problemów, ale również w naszej redakcyjnej rozmowie, czym w pewnym stopniu przyczynimy się chyba do rezultatów zgodnych z tejsze rozmowy intencja.

Z. M.

NOWA ORDYNACJA ZAMOJSKA

Maciej Podgórski

PRZEDTEM się mówiło: „Tylko przemysł nas może uratować”, a władze wojewódzkie, czasem nawet powiatowe, usilnie szukały „dojść” w resortach, albo i wyżej, żeby wywalczyć lokalizację jakiegoś dużego zakładu na swoim terenie. Nierzadko na zasadzie: obojętnie jaki, byle nieść. Tak bywało w regionach nie nasyconych inwestycjami przemysłowymi.

Teraz w nowo powstałych województwach rolniczych, stosownie do ich skromniejszego zasięgu, panuje sympatyczna moda na skromność. „Mamy niewielki przemysł. Ale, może to was zdziwi, nie chcemy większego. Bronimy się przed przemysłem. Nie mówię, rzecz jasna, o tym, co dla województwa konieczne: fabryka domów czy na przykład przetwórstwo spożywcze. Ale wielki przemysł — nie. Stawiamy na rolnictwo. Chcemy mieć wydajne, nowoczesne rolnictwo, i nie możemy sobie pozwolić na dalsze drenowanie wsi z ludźmi” — powiada do przedstawiciela prasy centralnej sekretarz ekonomiczny KW PZPR w Chełmie („Polietyka” nr 43).

Ktoś mógłby w tym węszyć pewną dozę kokietery, ale ja w tym widzę konieczny realizm: przemysł mamy niewielki, będziemy województwem rolniczym. „Przemysł mamy niewielki, będziemy województwem rolniczym — stwierdziła Barbara Leczyk, sekretarz propagandy KW PZPR w Zamościu, podczas konferencji prasowej 21 października. — Burakiem cukrowym możemy się w tym roku pochwalić, tytoń jest u nas rozwinięty i obrodził, chmiel, rzepak... Marzymy o zakładzie produkcji maszyn rolniczych, marzymy, ale w tej chwili koncentrujemy się przemysłem dziewiarskim, zakładami mięsnymi, fabryką mebli i fabryką domów”.

Ukazał się ostatnio bardzo dobry przewodnik Jerzego Kowalczyka pt. „Zamość” (Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa 1975). Niestety, życie znacznie wyprzedza możliwości naszej poligrafii, i przewodnik dotyczy stanu sprzed reformy administracyjnej, co jednak w tym przypadku posiada pewien plus. Napisano tam bowiem o Zamościu: „Jest stolicą gospodarczego i kulturalnego subregionu (określanego często jako Zamojszczyzna), obejmującego powiaty południowo-wschodnie: bilgorajski, hrubieszowski, tomaszowski, zamojski”.

W skład województwa zamojskiego wchodzi właśnie cztery wyliczone byłe powiaty (plus 5 gmin krasnostawskiego i 2 gminy bychawskiego), i już stąd widać, że nowy organizm administracyjny opiera się na tradycyjnych, naturalnych ciężeniach i powinowactwach w tym rolniczym regionie. Bo jednak pewna rozsądna doza wspólnoty i odrębności zewnętrznej jest w takich przypadkach potrzebna: żeby nikt nie mógł powiedzieć, iż nowe województwo utworzono, dowolnie wodząc palcem po mapie; i żeby umożliwić „miękkie lądowanie” w obrębie nowoczesnego, całościowego myślenia obywateli o swoim kraju.

Zamojskie władze deklarują kierunek na rozwój rolnictwa i widać w tym słuszną rezygnację z federalistycznego myślenia o Polsce oraz nowe rozumienie roli województwa. Przecież żadne województwo nie powinno być całkowicie niezależnym organizmem gospodarczym, a zresztą być nim nie może; chodzi tylko o to, żeby nie marnować wysiłków dla zaspokojenia nierealnych ambicji. Przeznaczeniem jednych jest rolnictwo, drugich — przemysł, innych wreszcie — rzecz może niedoceniana — turystyka. Ponadto owe wojewódzkie strefy „przeznaczenia” układają się w szersze struktury o charakterze ponadregionalnym, ofiarujące rezultaty swych wysiłków całemu krajowi, ale i oczekujące od kraju zadośćuczynienia swym ekonomicznym potrzebom; tym potrzebom, którym same z natury rzeczy sprostać nie mogą.

Taką potrzebą, o ogólnonarodowym zresztą, kulturalnym znaczeniu, choć o ekonomicznym właśnie podłożu, jest sprawa renowacji zespołu zabytkowego w Zamościu. Obszerny ów temat wiąże się z kwestią jeszcze obszerniejszą, mianowicie — turystyką. I jeżeli przyszłość Zamojskiego nie w wielkim przemysle, lecz w rolnictwie, to także w turystyce, a od dawna już wiadomo, iż turystyka, odpowiednio doinwestowana i rozbudowana, może stać się rodzajem przemysłu, przynoszącym nieliczne dochody.

Mają tam przepiękne tereny Roztocza i Puszczy Solskiej, zagospodarowane nadzwyczaj słabo. Podczas wspomnianej konferencji prasowej dowiedziałem się, że wprawdzie z planu centralnego w przyszłej pięcioletce na zagospodarowanie Roztocza nie dostaną nic, lecz uzyskali już kilkadziesiąt milionów złotych z centralnego funduszu na rozwój turystyki. Zagadkowa ta informacja oznacza zabezpieczone środki przynajmniej na budowę 10 zajazdów. Są też podobno inwestorzy w postaci zakładów pracy, co jednak rodzi niebezpieczeństwo powstawania odrutowanych, zamkniętych w sezonie dla „wolnego” turysty, przybytków zakładowej rekreacji.

O tych sprawach mówiono dziennikarzom zbyt enigmatycznie. Jakiś wstępny program zagospodarowania Roztocza. Coś mają zacząć już. Wykonawstwo bardzo trudna sprawa. Trzeba by trochę czynami społecznymi. I tak dalej. Tymczasem szansa jest wielka. I nie idzie przecie tylko o zajazdy, pomysł piękny sam w sobie, choć nieco tymczasowo-

wy. Idzie o hotele i drogi, kempingi i restauracje. A przede wszystkim idzie o dogadanie się z województwami ościennymi, o partycypację i wspólne przyszłe zyski. Jedyna pocięcha, iż może nieco za wcześnie pytać o takowe pomysły. W każdym razie w przyszłości widzę tam kombinat turystyczny o charakterze krajowym, którego głównymi elementami są: miasto Zamość, Roztocze i Puszcza Solska. Może jestem naiwny i może to przyszłość nie taka bliska ale jeśli dziś nie zacznie się o tym myśleć...

Za wcześnie też chyba mówić o tym, o czym zawsze mówi się najczęściej i raczej z żalosnym skutkiem — o konsekwentnie realizowanym programie kulturalnym i efektach tak zwanej działalności kulturalnej. Od dłuższego już czasu odnoszę wrażenie, iż kształtowanie kulturalne społeczeństwa, a szczególnie społeczności wiejskiej, dzieje się samo w sobie, płynnie nurtem podskórnym, spontanicznym, w dużej mierze niejako poza działalnością oficjalnych dysponentów i organizatorów kultury. A w szczególności, że większość naszych wysiłków przypomina bardziej pozytywistyczno-filantropijne mrzonki o oświeceniu małuczkich, niż nowoczesne środki propagandy kulturalnej w dojrzałym społeczeństwie, zaś mizerne efekty tych wysiłków obliczone są przede wszystkim na dzieci i starców.

Nie o to jednak tymczasem idzie, gdy sprawa z województwem zamojskim. Bo o programach, formach i skutkach działalności kulturalnej możemy jeszcze dyskutować, jak dyskutujemy długie lata. W tak zwanym międzyczasie, choćby na zasadzie zdrowego rozsądku, utarły się jakieś praktyczne formuły tej działalności, funkcjonują jakieś typy placówek kulturalnych, i lepiej, że jest tak, niżby ich w ogóle nie było. A jeżeli dzisiaj mówimy, że województwo jest wyspecjalizowanym trybikiem pracującym na potrzeby całego kraju, którego stanowi część, to nie odbieramy tym sposobem województwu samodzielności w zaspokajaniu codziennych potrzeb społeczeństwa, które na terenie owego województwa zamieszkuje.

Pewną panią z Zamościa, pracującą w branży kulturalnej, spytałem, gdzie się ubiera, w Lublinie pewno? W Warszawie, w „Modzie Polskiej”, proszę pana! Dopóki będę słyszał taką odpowiedź i dopóki w Zamościu nie będzie można dostać takiej samej koszuli jak w Warszawie, dopóty obywatele terenowi mogą mieć poczucie drugorzędności: mamy dawać, a w zamian nic nie otrzymywać? Bo te potrzeby obywatelskie, które na co dzień powinno samodzielnie zaspokajać województwo, wiążą się z zaopatrzeniem, handlem, usługami, placówkami kulturalnymi wreszcie, o mieszkaniach już nie mówiąc.

Przy czym — powtarzam — w dziedzinie kultury nie chodzi mi na razie o jakoweś cudownie oryginalne i skuteczne pomysły, lecz żeby było to choćby, co dotąd zazwyczaj w każdym województwie istniało. Tymczasem nową erą administracyjną Zamojskie wita niezwykle sierniężnie pod względem możliwości kulturalnych.

Owszem, mówiło się i o nowych pomysłach. Ze jak „spotkania teatralne” to z udziałem zawodowych teatrów z Krakowa, Warszawy i Lublina, nie żadne tam amatorskie zagrywy, których sens większy w wewnętrznej zabawie zespołów, niż w rozumnej popularyzacji sztuki pośród widzów. Ze im-



Zamość. Fragment fasady jednej z kamieniczek ul. Ormiańskiej.

Fot. J. Kusy

prezy ogólnopolskie w Zamościu, choćby Centralne Święto Młodości, plenery najrozmaitsze. Ze akwawent PWSTiF, Waldemar Zakrzewski prowadzi fachowo Młodzieżowy Teatr Aktualności przy spółdzielni mieszkaniowej w Zamościu. Ze wzorem pokazowego GOK-u w Tarnogrodzie myśli się o tworzniu międzygminnych ośrodków kultury, na razie przynajmniej.

Są to wszystko formy i pomysły, którym należy w tej chwili dać czas, żeby okrzepły i dojrzały. Na dalszą drogę można by jeszcze winnować zamojskim animatorom kultury, iżby podumali o niezwykle istotnej sprawie działających w środowiskach PGR. Jakoś to chyba w ogóle umyka. Przeszło 80 proc. ludności województwa mieszka na wsi, 67 proc. utrzymuje się z rolnictwa, ale wieś jest rozdrobniona i coraz starsza, zaś przemysł, choćby przyszły węgiel, jeszcze długo będzie czynnikiem drenującym wieś z młodych. Toteż perspektywa nowoczesnego rolnictwa tkwi — rzeczy znane — w rozwoju uspołecznionych form gospodarki, gdzie większa mechanizacja i mniej potrzeba ludzi. Zanim nastąpi, a może nastąpić, powrót z miasta w teren, choć odległa to perspektywa, trzeba pamiętać, by teren nie stawał się dostatanio urządzoną... pustynią kulturalną.

Wszystko prawda, lecz porozmawiajmy o dzisiejszej rzeczywistości. Wyrwykowe przykłady tylko. Teatru i filharmonii w Zamościu nie ma i przed 1980 rokiem nikt się nie spodziewa. Nowego kina, porządnego lokali dla biblioteki wojewódzkiej i zespołu szkół artystycznych — też. Tyle że w drugim przypadku szłoby o tak zwane inwestycje odtworzeniowe, związane z renowacją Zamościa, podobnie zresztą dopiero po dokonaniu renowacji w północnej pierzei Rynku Wielkiego muzeum okręgowe otrzymania pomieszczenia, które mu umożliwiły prowadzenie normalnej działalności naukowo-badawczej i popularyzatorskiej, jak na wojewódzką placówkę przystało. A jeśli idzie o teren województwa, to wystarczy powiedzieć, że na 43 kina stałe aż 33 pozostają w stanie krytycznym (budynki i wyposażenie), zaś na 52 gminy tylko w 9 są GOK-i, w tym jedynie dwa — jak powiada urzędowy dokument — „odpowiadające wymogom stawianym przed tego typu placówkami”.

Wiele spraw w gminach zamierza się rozwiązać przy pomocy czynów społecznych, i to jest bardzo piękne, aczkolwiek przypominam, że w samym Zamościu czynowe budowanie amfiteatru (nareszcie otwarty!) ciągnęło się latami; choć może to być nieco inne czasy, trzeba się jakoś pocieszać. Nie wszystko jednak da się rozwiązać czynami i rozmaitymi doraźnymi funduszami, aczkolwiek nigdy nie będzie za dużo lokalnych inicjatyw. W tym momencie nic nie postuluję, stwierdzam tylko.

Kiedy byłem w Zamościu, wakowały jeszcze stanowiska — na przykład — dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oraz dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Na 167 osób pracujących na kierowniczych stanowiskach w resorcie kultury, tylko 10 posiada wykształcenie wyższe. W domach kultury potrzeba 5 choreografów, 1 socjologa, 4 specjalistów muzyków, 3 plastyków, 4 specjalistów do spraw teatru oraz 4 pedagogów. Dobrze przynajmniej, iż władze województwa zebrały dziennikarzy z całej Polski i otwarcie o tym powiedziały. To także nowy styl myślenia, ale jak w takich warunkach myśleć o zaspokajaniu potrzeb kulturalnych ludności województwa — czy choćby jakimkolwiek serwowaniu kultury?

Zamościanie mawiają czasem o „województwie bilgorajskim z siedzibą w Zamościu”, co oznacza, iż zżymają się na pewne dysproporcje w obsadzeniu stanowisk wojewódzkich kadrami z byłych powiatów. Tymczasem idzie jednak o to, że z kadrami w ogóle kłopoty. Potrzeba na przykład jeszcze około 140 lekarzy, żeby województwo osiągnęło „średnią krajową lekarzy na 1000 mieszkańców”. Jakiś kulturalny jegomość (acz nieco podchmielony) powiedział mi w rozmowie towarzyskiej, że Zamość widzi jako prowincjonalne miasto urzędniczo-akselbantowe. Niedawno tu przybył, zamieszkał, i tak je widzi. Jest to opinia nad wyraz krzywdząca, choćby dlatego, że nie uwzględniła perspektyw. Ale faktycznie — żeby była kadra na skalę i potrzeby województwa, należy przede wszystkim zapewnić mieszkania, a kiedy mowa o mieszkaniach, to mowa również o renowacji, bo w Zamościu o czymkolwiek by była mowa, zawsze się skończy na renowacji.

Jak wynika z informacji uzyskanych w Urzędzie Miasta, z renowacją jest tak: są pieniądze (mocą uchwały Rady Ministrów od maja ubiegłego roku 1,3 miliarda złotych!), od 4 VI br. istnieje międzyresortowe porozumienie (Ministerstwa Budownictwa i Materiałów Budowlanych, Ministerstwa Gospodarki

Dokończenie na str. 9

Kamena str. 7

plywająca przez Plovdiv i Dimitrograd, a poprzez Turcję spływająca do Morza Egejskiego. Zbiera po drodze ścieki z dawnych fabryk i starych miast, nie posiadających w ogóle żadnych oczyszczalni. Zgodnie z uchwałą Rady Ministrów do końca 1980 roku Marica także ma być biologicznie żywa.

Najbardziej czystą wodę pitną w Bułgarii, a chyba wśród wszystkich stolic świata, posiada Sofia. Potwierdza to zresztą każdy turysta, pijąc wodę z kranu — czystą, niemal mineralną. Gorzej jest ze ściekami, zwłaszcza z detergentami. W rzece Iskar woda po prostu się pieni, a pianą spływa czasem aż do Dunaju, 200 km dalej. Ale właśnie polskie przedsiębiorstwa budują ultranowoczesną oczyszczalnię ścieków, która ma te deterenty całkowicie zlikwidować.

Jednym z efektywnych wyników walki z zanieczyszczeniami powietrza i wody jest położone na południe od Sofii miasto Pernik, zwane bułgarskim Chicago. Jeszcze przed dziesięć laty było to najbrudniejsze miasto Bułgarii, kto tylko mógł przeprowadził się do innych miejscowości, fabrykom groziły przestoje z powodu braku rąk do pracy. Np. zanieczyszczenie wody przekraczało o 80 proc. krajową normę, podobnie było z powietrzem i to w całej okolicy. Rząd wyasygnował wtedy odpowiednie środki, określając jednocześnie, że zakłady elektrofiltry muszą zatrzymywać 98 proc. pyłów, a oczyszczalnie ścieków także 98 procent, zanieczyszczeń. Początkowo wydawało się to niemożliwe, ale dzisiaj Pernik należy do najczystszych miast w Bułgarii. Okoliczne hałdy rekultywowano, stoczono zwycięską walkę z erozją gleby.

Kolejnym etapem naszej podróży są owe wielkie zakłady petrochemiczne w okolicy Burgas. Przerabiają one 12 milionów ton ropy naftowej rocznie, pokrywając całkowicie zapotrzebowanie kraju. Głównym dostawcą jest Związek Radziecki, uzupełniają zaopatrzenie kraje Bliskiego Wschodu. Całą ropę przywozi się tankowcami do specjalnego portu tuż na południe od Burgas. Właściwie to port zbudowano nad brzegiem jeziora, które następnie przekopem połączono z Morzem Czarnym. Było to jezioro ze słoną wodą, niegdyś odcięte od morza działaniem sił naturalnych. Wokół niego rozciąga się kamienna pustynia, nie posiadająca żadnych walorów turystyczno-wypoczynkowych. Stąd rurociągami długości 25 km doprowadza się ropę do zakładów.

Oprowadza nas inż. Ganew Wesełin, specjalista od ochrony środowiska. Zakłady produkują benzeny, kauczuk, tworzywa sztuczne, mazut, smary, butan, fenol, aceton itd. Przy pomocy specjalistów polskich kończy się budowę wytwórni plastifikatorów.

Już po kilkudziesięciu krokach zaskoczenie: wszędzie piękna, soczysta zieleń, dużo rozmaitych kwiatów.

— No tak — powiada inż. Ganew — zastosowaliśmy tu wszelkiego rodzaju najnowocześniejsze urządzenia z całego świata. Sam byłem w waszym Plocku i wiele się tam nauczyłem. W zakładach chemicznych chodzi po prostu o to, aby wykorzystać do produkcji nie tylko to, co określiła tradycyjna chemia, ale także to, co do niedawna uchodziło za odpady. A mamy jeszcze ten plus, że sprowadzamy tylko ropę, która zawiera stosunkowo mało siarki. Ale potrafiliśmy już ujarzmić i przerabiać także owe najgroźniejsze tlenki siarki, które tyle kłopotów sprawiają innym zakładom chemicznym.

Największy kłopot był ze ściekami. Zawierały one 1—3 gramów produktów naftowych w 1 litrze. Zbudowaliśmy więc trzy oczyszczalnie: mechaniczną, biologiczną i fizykochemiczną. Potem woda przez kilka miesięcy znajduje się w odstojnikach i ostateczny rezultat to 1 miligram zanieczyszczeń na litr, a więc do trzech tysięcy razy mniej niż na początku procesu oczyszczania.

Przyznajemy z pewnym zakłopotaniem, przypominając sobie puławskie Zakłady Azotowe i płocką rafinerię. Interesujemy się jeszcze wpływem, jaki wywierają zakłady na wodę pitną w okolicy. Okazuje się, że do 10 km wokół kombinatu czynne są studnie badawcze, z których systematycznie pobiera się wodę do analiz. Ale poza krótkim okresem dwóch awarii urządzeń produkcyjnych, ani razu nie stwierdzono śladów jakichś szkodliwych składników.

Jednym z wielkich i aktywnych sprzymierzeńców tych wszystkich, którzy walczą o ochronę środowiska nad Morzem Czarnym, jest ukazujący się w Burgas dziennik „Czarnomorski front”. Jego redaktor naczelny, Jéllazko Klossev, przyjmuje nas gęstą kawą po turecku, wspaniałym winem i opisaniami batalii, które toczyło pismo walcząc z ludźmi, zapatrzonymi tylko w wyniki produkcyjne. Dzięki tym zwycięskim bataliom bułgarskie wybrzeże czarnomorskie nie straciło ani ze swojej urody, ani wartości rekreacyjnych.

Tajemnica portretu

ZA pośrednictwem „Kamery”, która w województwie lubelskim posiada dawne tradycje, pragnęłabym czynić poszukiwania proveniencji portretu księcia Albrechta, znajdującego się od 1972 roku w posiadaniu Muzeum Okręgowego w Olsztynie. Portret ten, zakupiony przez nasze Muzeum, ma ciekawą, nie wyjaśnioną historię, niezależnie od zmiany atrybucji personalnej, której dokonałam na początku bieżącego roku, przygotowując obraz na ekspozycję związaną z 500 rocznicą hołdu pruskiego. Załączona podobizna przedstawia bowiem syna księcia Albrechta (1490—1568) — Albrechta - Fryderyka (1553—1618).



Fot. A. Kuraczyk

Portret Albrechta - Fryderyka, występujący jako podobizna Albrechta, był w 1944 roku w Lublinie. Udało mi się bowiem odnaleźć osobę, która od 1944 roku była w posiadaniu tego interesującego dzieła sztuki. Dzięki uprzejmości tego Pana, który zechciał odpowiedzieć na mój list, wiem, co następuje. Cytuję: „Znalazłem go w 1944 roku po przejściu frontu przez Lublin, gdzie wówczas mieszkałem. Leżał na stosie odpadków i zniszczonych części urządzenia wnętrza dawnej szkoły budownictwa w Lublinie, której budynek zajmowało wojsko niemieckie podczas okupacji...”

Na portrecie tym, na jego od-

wrocie, naklejone są dwa napisy w języku polskim z początków XIX stulecia. Jeden mniejszy i drugi prawie na całą wielkość odwrocia. Napisy te informują obszernie o historii lenna polskiego i o książęcym rodzie, a także o dziejach Polski do okresu napoleońskiego. Napisy te każą poszukiwać polskiej proveniencji obrazu, którego szesnastowieczny rodowód artystyczny wywodzi się z obszaru dawnych Prus Książęcych.

Książę Albrecht - Fryderyk przebywał w 1569 roku w Lublinie jako uczestnik II hołdu pruskiego. Nie znaczy to wcale, że portret pochodzi z tego czasu (raczej namalowany został z młodzieńczego portretu księcia w końcu XVI wieku — stąd piękna miękka kryza). Może natomiast być ikonografią związaną z tradycjami lubelskiego hołdu. Może również pochodzić z innego obszaru: zagarnięty przez Niemców w czasie okupacji, pozostał — założony — w Lublinie. Pośląm dwa zdjęcia portretu — prezentację podobizny i odwrocia obrazu. Liczę, że redakcja zechce mi pomóc. Wprawdzie od tego czasu minęło lat trzydzieści, ale nie należy tracić nadziei, może się uda czegoś więcej dowiedzieć.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Kamila Wróblewska
Kustosze Muzeum Mazurskiego
ul. Świtezianki 1 m. 35
10-464 Olsztyn

NOWA ORDYNACJA ZAMOJSKA

Dokończenie ze str. 7

Terenowej i Ochrony Środowiska, Ministerstwa Kultury i Sztuki, Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki oraz wojewody zamorskiego) w sprawie kompleksowej renowacji Zamościa; renowacja obliczona jest na 11 lat, od br. początku, i już jest przeprowadzana, choć na razie są to prace, i jeszcze jakiś czas będą, bez widocznych gołym okiem rezultatów; pieniądze idą w ziemię, choćby na odwodnienie miasta.

Zbigniew Kramarz, dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta Zamościa, jest optymistą, plany renowacji są realne, robi się terminowo, tylko żeby nie te niespodziewane poślizgi... Jan Piskorski, prezydent Zamościa, jest nieco mniejszym optymistą, są kłopoty z materiałami budowlanymi i mocą przerobową, dyrekcja PKZ jest w Warszawie, oddział w Lublinie, a w Zamościu tylko zakład, przedsiębiorstw specjalistycznych nie mają, biur projektowych nie mają; żeby przystąpić do renowacji budynków, trzeba przenieść mieszkańców i instytucje do nowych domów; fabryka

domów może by i wystarczyła, ale nowe budynki to także zbrojenie terenu, woda, ciepło, oczyszczalnia ścieków — jednym słowem; a że obok konieczności renowacyjnych trzeba też mieszkać dla kadry, więc w sumie już teraz potrzeba 10 tysięcy mieszkań, zaś na najbliższą pięcioletkę zakładają z konieczności 3,5 tysiąca mieszkań.

Tak wygląda sprawa renowacji. „Bez pomocy z zewnątrz, w postaci choćby wykonawstwa, nie poradzi sobie z renowacją. A w ogóle to trzeba teraz inwestować w nowe województwa, choćby kosztem ograniczenia inwestycji dla województw bardziej rozwiniętych, już z tradycjami” — powiedział na koniec prezydent Piskorski. To pierwsze zdanie jest z pewnością słuszne w całej rozciągłości. Drugie zdanie może nieco przesadne, ale coś w nim jest niewątpliwie. Widać przynajmniej, z czym oni się borykają, czym żyją i na co liczą.

Maciej Podgórski

Komena str. 9

ISTOŚCI

le rzeczy nie było utworu, uzasadnił. Wytykało rękę, nie- szczególnych wanie mate- niekoherentne dzieła, obec- wyolbrzy- jeśli tym stawiamy bez racji tego kryty- Thibau- kto mówi „Uzna- licząc na Ale przy ciach po- Zerom- nie do od- na wrażli- znajduje w takich i osła- ni ma swo- Chmielowski Zeromski „Popiołach” wie powie- by dzie- wypadło”. niości tabu- tłumac- wspólnego formalnych przykład od-

działował za sprawą Stendhala. Poza tym przy najostrej nawet nastawionym krytycyzmie zarzutu o wadach kompozycji nie da się utrzymać wobec nowel i dramatu „Uciekła mi przepióreczka”.

Za to mistrzostwo Zeromskiego bezwzględnie wyraziło się w kreśleniu poszczególnych scen, ludzkich charakterów, opisów przyrody. Wilhelm Feldman mówi, że „jego pejzaże są pod względem malarskim arcydziełem impresjonizmu”. Musi też zwrócić uwagę, że w opisie psychiki ludzkiej Zeromski pierwszy w polskiej literaturze zdobył się na głębię i przenikliwość. Wprawdzie na kartach jego powieści każda postać kobieca otrzymuje dość ograny epitet jak „śliczna”, „prześliczna”, „cudna”, „cudowna”, to jednak żadna z nich nie staje się papierową kukłą, jak to bywa pod piórem o mniejszej sprawności artystycznej. Zeromski ociera się czasem o banał, o stylizację pośledniego gatunku ale nawet w takich partiach talent zwycięża i w końcu podnosi opis do wysokości artystycznego zadania, któremu ma służyć. Nikt nie kwestionuje mistrzostwa poszczególnych scen, zawierają one tak wiele prawdy i podane są z taką siłą wyrazu, że pozostają na trwałe wśród najwyższych osiągnięć polskiej literatury. Pesymista Zeromski zanadto ukochał życie, świat, światło, naturę, by jego piśmarstwo mogło pozostać wolne od tego ukochania, by spowodowana w nim „wibracja lirycz-

na” nie uaktywniła dzieła w jego emocjonalnym oddziaływaniu.

Pojawiły się kiedyś głosy, że Zeromski to problem „wyłącznie polski”. Tak przepojony sprawami swojej ojczyzny, że przez to mało czytelny dla zagranicy. Nie zupełnie to trafne, a świadectwem może tu być kandydowanie do Nagrody Nobla, wprawdzie w końcu nie otrzymanej, ale nie otrzymanej ze względu na porachunki polityczne, kiedy pronie- miecko nastawiona Akademia Szwedzka cofnęła po „Wietrze od morza” początkowo zapowiadającą się zgodę. Za to wśród czytelników polskich miał Zeromski pierwszeństwo. W ankiecie „Widomości Literackich” przeprowadzonej w roku 1925 na temat „Kogo wybralibyśmy do Akademii Literatury”? Zeromski otrzymał 865 głosów (Reymont 864, Kasprowiec i Sieroszewski po 830, Staff 805, Przybyszewski 803, Tetmajer 800, Boy 785, Strug 738).

Mało który z klasyków pozostając w swym historycznym wymiarze posiada taką aktualność dla dzisiejszego pokolenia, co autor „Urody życia”, „Walki z szatanem”, „Przedwiośnia”. Ten spadkobierca wielkich romantyków techną ideę walki i pracy dla narodu w codzienną polską rzeczywistość. Dlatego niebawem trafność wykazują słowa bliskiego Zeromskiego współpracownika, lubelskiego lekarza Mieczysława Bierackiego, który nazwał pisarza „betmanem naszej myśli”, „naszym «cor cordium», naszą chwałą i sławą”.

Zygmunt Mikulski

KIELCE na mapie literackiej kraju nie odgrywa wazniejszej roli. W ciagu ponad 30 powojennych lat przez kilka lat (miejscami) dyskusji literackich, „aktres kielecki” przetrzaski, Jan Maria Glos, Wieslaw Jablonski, a takze Jozef Morton i inni; wszystkie próby stworzenia znacznego środowiska literackiego konczyły się jednak na dobrych chęciach niezliczonej garski osób.

Najwymowniejszym świadectwem zastoju, jaki opanował to środowisko, jest fakt, iż Kielce przed reformą admini-

stracyjną — jako jedyne miasto będące siedzibą władz wojewódzkich — nie dorobiły się własnego oddziału ZLP. W zastępstwie utworzono Klub Literacki o luźnym i nie dośrobie sprzyjającym statusie. Do klubu należała 44 osoby, spośród których sześć posiadało członkostwo ZLP, kilkanaście dalszych ma na swym koncie jedna pożyczkę wydawniczą, natomiast dorobek większości ogranicza się do publikacji w prasie Środowiska literackiego Kielce jest hermetyczne i mało znane w kraju. Na tym tle korzystnie wyróżnia się twórczość Henryka Jachimowskiego i Ryszarda Miernika, spośród młodszych — Henryka Kawiorskiego i Stanisława Nyczaja.

Grupa najmłodszych pisarzy skupia kielecki ośrodek KKMP, jednakże od lat znajduje się on w stanie stagnacji. Członkowie KKMP, którzy wykazali się publikacjami w prasie i periodykach literackich, należą do Klubu Literackiego. Zakres działania tego klubu oraz jego możliwości organizacyjne są — niestety — niewielkie. Wychodząc tedy z propozycją wydania kolumny poetyckiej na łamach „Kamery”, najmłodszym spośród piszących w Kielcach prayswieca idea ciągłego sprawdzania się i konfrontacji z innymi środowiskami, a tym samym — zerwanie ze stanem izolacji.

Najmłodsza twórczość spotykała się z

tychliwa ocena goszczących w Kielcach krytyków. Udziałem młodzieży jest zdobyte kilka nagród na konkursach literackich.

Tylko jeden z prezentowanych tutaj autorów wydał własny tomik. Pozostali natomiast — pomimo sporej różnicy wieku — zadebiutowali w maju ub. roku w almanachu poetyckim pt. „Bazar poetycki”. Jeśli dodać, że szybko potem dostali się na łamy różnych pism, z grupą ta można wiązać spore nadzieje. W bieżącym roku ukazał się w Bibliotece „Przemian” tomik Małgorzaty Gołabek-Antolskiej, natomiast wydawnictwo „Iskry” wyda arkusz poetycki Marka Gosudarskiego.

ZDZISŁAW ANTOLSKI urodził się w 1953 r. w Kielcach. Ukończył tu I LO im. S. Żeromskiego, przez rok studiował filologię polską w WSP. Pracuje w Kielcach w Ośrodku Gier Automacyjnych. Debiutował w Jedynostwie młodzieży lokalnej „Młodzi idą”. Opublikował wiersze w almanachu „Bazar poetycki”, w „Radarze” i „Przemianach”. Jest członkiem KKMP i Klubu Literackiego w Kielcach.

Zdzisław Antolski

Prawda jest w nas chytrze ukryta
pod darnią wspomnień
za drzewami sennych wizji
pod powiekami niewidzialnych
pejzuży

(Objawienie może przyjść nagle
w podziemnym przejściu
na samochodowym przystanku
i wtedy jesteś jak bezbronne
dziecko —
zabije cię zmięta kula papieru

MALGORZATA GOŁABEK-ANTOLSKA urodziła się w 1950 r. w Kielcach. Jest absolwentką II LO im. J. Śniadeckiego. Obecnie pracuje w Ośrodku Gier Automacyjnych. Debiutowała w 1971 r. w „Przemianach” dwoma wierszami: „Maja naga” i „Wieczór”. Wiersze drukowała ponadto w almanachu „Bazar poetycki”, w „Przemianach” i w „Magazynie Słowa Ludu”. Uprawia również prozę. Zdobyła I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na opowiadanie o tematyce współczesnej. Jest członkiem KKMP i Klubu Literackiego w Kielcach.

Małgorzata Gołabek-Antolska

KRONIKA LATA

Tak więc koty się rodzą, umierają kłowni
a pozostają cieśle. Trwa porządek rzeczy.
W tych samych barach piją mężczyźni ci sami.
Kurs kobiety nieznacznie się waha, Czas leczy.
Poeci nadal piszą. Wódka nie drożeje.
Tylko znachorzy biorą drożej za poradę.
Paprocie obrodziły tego lata. Nawet
podobno czasem kwitną. Pociągi do piekiel
kursują regularnie. Trwa szczyt urlopowy,
podróże nadal kształcą. Ciągłe trwają łowy
na Wielką Niezawiedzię. Ogromne upały
powodują zbyt szybkie psucie się miłości.
Lecz za to bezsens pragnień jest niezmiennie
trwały
— prości wciąż chcą być krzywi, krzywi chcą
być prości.
Wciąż jeszcze czegoś chcemy. Tylko nas
przygniata
śmieszność nazw, kruchość rzeczy i nietrwałość
lata.

LESZEK KUMAŃSKI urodził się w Kielcach. Tutaj ukończył szkołę średnią i rozpoczął studia (na filologii polskiej) w WSP. Zamieszkał wiersze w prasie kieleckiej, m. in. w „Przemianach”, a także w „Nowym Medyku”.

Leszek Kumański

WIERSZYK OKOLICZNOŚCIOWY DO DEKLAMACJI DLA MAŁEGO CHŁOPCA

zbiegnę ogrodem opuszczonej twarzą
w półtonach rozdwójonej jaźni
z nierozpoczętej barwnej kompozycji
w niedokończony spektakl wyobraźni
ogień mi matka we włosach zapali
do ślubną suknię odeszłej kobiety
bode się palił pięknie proszę pani
i tak jak pani będę trui się pięknie

MŁODZI POECI

MAREK GOSUDARSKI urodził się w 1956 r. w Kielcach. Debiutował w 1973 roku w „Przemianach”. Wiersze publikował m. in. w „Opolu”, „Okolicach”, „Magazynie Słowa Ludu”, Polskim Radu i „Bazarze poetyckim”. W najbliższym czasie ukazał się jego arkusz poetycki w tzw. skatule „Iskry”. Zajmuje się także prozą. Jest członkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy i Klubu Literackiego.

Marek Gosudarski

WEJŚCIE

więc to jest
wejście
w męskość

matka placek upiekła
wyglaskala
ojciec kupił
litr wódki
piliśmy wspólnie
po raz pierwszy

rodzinny bruderszaft

więc to jest
wejście
w męskość
wyrzucanie
wyrzuty

ADAM OCHWANOWSKI urodził się koło Pinczowa. Pracuje w Kielcach w Urzędzie Miejskim. Publikował wiersze, opowiadania i artykuły publicystyczne w „Słowie Ludu”, „Przemianach”, „Bazarze poetyckim”. Interesuje go problematyka wsi i tradycji ludowej. Jest członkiem KKMP i Klubu Literackiego w Kielcach.

Adam Ochwanowski

CO POWIEM

Na ile mi pozwolisz przywyknąć
do twarzą — pół
do gestu — pół
reszta rozrzucona w zakamarkach
lżemy swoje wiersze
zrećnie omijając puenty
tytuły tworzą program niezbitych
spóźnieni o jedno przyzwolenie
krzyczymy o subordynacji
po seansie złudzeń
gdzie łóżko kłamie
i pękają słowa
co najwyżej zmieniamy
prześcieradło
i cóż ci powiem — nie słysząc
co pokażę — przymykając oczy
przylapaną na kłamstwie szczeniak
placze ukryty głęboko

RENA MARCINIAK urodziła się w 1947 r. na Rzeszowszczyźnie. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim i opolskiej WSP. Pracę magisterską obroniła w 1968 r. W 1972 r. ukazał się jej zbiorek wierszy (LSW) pt. „Węzły”. Zajmuje się również prozą.

Rena Marciniak

* * *

I rosła cisza
między nami
głośna jak dzwon
twarda jak mur

I czekaliśmy
na co myśmy
jeszcze czekali
zdumieni śmiechem
i odświeżeni
jak u babki
na imieninach

I skrzydło polebia
uderzyło o szybę
jak promień
jak zwiastun nadziei

I wyjęłam moje oczy
żeby nie widzieć

I położyłam głowę
na pniu
twojego ramienia

I zaczął we mnie
rosnąć ogromnieć
jak wielki balon
niepisanu wyrok
← potrzeba ucieczki

STANISŁAW STANIK urodził się w 1948 r. w Maloszytach, woj. piotrkowskie. W 1967 r. ukończył szkołę średnią — XXVIII LO w Łodzi, następnie studiował polonistykę w Lublinie. Od 1973 r. pracuje w Kielcach jako dziennikarz. Zadebiutował w 1968 r. w piśmie studenckim „Polonista”. Wiersze zamieszczał w „Kamery”, „Współczesności” i „Za i Przeciw”.

Stanisław Stanik

GAPIE NAD POETĄ

Nie mieści się w glinie,
ani — jak na początku byto —
w słowie,
jeśli, to w beczce

Dzieli głos z rybą i miejsce.
Cicho tak siedzi,
jak na Jonasza przystaje.

Gapie go pokazują
serdecznymi palcami,

a ryba spluwa na trzeci dzień.
To jest zmartwychwstanie.

Poeta unosi się, kości prostuje,
ze dna im
wytacza krew na obieg planet.

JANUSZ STĘPIEN urodził się 1949 r. w Brzostowie, woj. wrocławskie. Od czwartego roku życia mieszka w Kielcach, gdzie ukończył Technikum Ekonomiczne. Obecnie pracuje w Kieleckim Towarzystwie Naukowym. Debiutował na łamach „Nowego Medyka” (1973). Drukował m. in. w „Nowym Wyrzale” (1974 r.) i w prasie kieleckiej. Jest członkiem Kieleckiego Klubu Literackiego.

Janusz Stępień

UMIERAJĄ NAM MATKI

matki chciały
wykradać nam
ból i radość
jak nieruchome męczennice
ze ściegą w ręku
oczekują naszego powrotu
i w milczeniu odbierają
niewdzięczną ofiarę
w brudach twarzy
noszą piętno lęku
gdy żarliwie modlą się
za nasze noce i dni

wiejskie kobiety
z twarzą, trzech pokoleń
wypalone stołcem
przycupnęły na schodach
piętrowców

ich usta w modlitwie
trzęsące się dłonie
zwrócone w serce głosu
czekały na człowieka
wszyscy spieszyli do
swoich domów
potykając się o kobiety
w ich oczach zapalało się
i gasło zdziwienie



Rys. E. Inglot

POLONIJNA „STRZECHA” W AUSTRII

Władysław Kucharski

POD patronatem prezydenta Austrii, dr. Rudolfa Kirchschlöglera, odbywały się niedawno w Wiedniu uroczyste obchody 80 rocznicy powstania Związku Polaków „Strzecha”. Donosiła o tym obszernie prasa codzienna. Tu przypomnijmy historię tej zasłużonej organizacji.

Powstała ona w 1885 r. w wyniku połączenia stowarzyszeń polskich — „Zgody” (organizacji założonej w 1873 przez przewodniczącego austriackiej Rady Państwa — Polaka, dr. Franciszka Smolke) i „Lutni” (powstałej w 1886 r.). Słowo „strzecha” miało przypominać naszym rodakom ciepło domu rodzinnego i tradycyjną polską gościnność. Wybitną rolę w utworzeniu „Strzechy” odegrali: P. Twardowski, B. Szmulakowski, T. Bienkowski, M. Kluczewski, M. Gil i T. Kotykiewicz oraz August hr. Los, dr. Franciszek K. Heurteux i Karol Łoziński (prezes „Strzechy” w latach 1910—1918).

Od początku swego istnienia „Strzecha” realizuje programowe zadania: rozbudzanie i pogłębianie uczuć patriotycznych, kształtowanie godności narodowej, ugruntowanie zwartości mo-

ratnej i organizacyjnej Polaków żyjących w Austrii, krzewienie rzetelnej wiedzy o Polsce wśród społeczeństwa kraju osiedlenia, nauczanie i utrwalanie języka polskiego oraz rozwijanie życia kulturalnego i towarzyskiego.

W szeregach „Strzechy” działali wybitni Polacy, którzy wnieśli niemały wkład do rozwoju życia społeczno-politycznego, kulturalnego i gospodarczego Austrii, a mianowicie: liczni członkowie „Koła Polskiego”, literaci i publicyści — Tadeusz Rittner, Ignacy Nikorowicz, Stanisław Fałat, poetka Marya Cossa, artysta rzeźbiarz prof. Stanisław Lewandowski, dziennikarze Władysław Eugeniusz Baron i Roman Hernicz, znawca i popularyzator literatury polskiej — adwokat dr Henryk Monat, a po II wojnie światowej — artysta malarz prof. Bolesław Jan Czedeckowski i inni.

Od chwili swego powstania „Strzecha” współpracowała z wieloma stowarzyszeniami polskimi. Jej działacze byli między innymi nauczycielami szkółek polskich, wykładawcami na kursach dla analfabetów i na kursach języka niemieckiego dla polskich ro-



Prezydent Austrii — dr Rudolf Kirchschlögler, prezes Związku Polaków w Austrii — Leon Schmiedehausen, wiceprezesi — Wanda Maxymowicz, Marian Jurek, Waldemar Marynicz, sekretarz — Anna Hömig oraz I. Ehrlich i O. Ledochowski
Fot. F. Kern

botników. Wielu jej członków brało czynny udział we wszystkich ważniejszych imprezach polonijnych w Austrii, a szczególnie w uroczystych obchodach polskich rocznic historycznych i świąt narodowych.

Realizując ideę współpracy pomiędzy stowarzyszeniami polonijnymi w

Austrii, działacze „Strzechy” wespół z przedstawicielami innych organizacji powołali do życia w 1924 r. Związek Stowarzyszeń Polskich. Do tego Związku należały: „Strzecha”, „Ojczyzna”, „Ognisko”, „Oświata”, „Opieka”, „Siła”, „Proletariat”, „Naprzód”, „Równość”, „Przytulisko Polskie”, „Liga Ko-

Okno -lice Sztuki -ki

Bydgoska Sztuka Faktu

TAKIEJ imprezy nie było w Polsce już dawno, można nawet powiedzieć, uwzględniając intencje organizatorów, że Ogólnopolski Festiwal Kultury „Rzeczywistość a sztuka”, który odbył się przy końcu października w Bydgoszczy, stał się pierwszą znaczącą i nie budzącą zakłopotania próbą przyznania się twórczości do swych społecznych źródeł. Oczywiście chodziło tutaj o przyznanie własnowolne, spontaniczne.

Po pierwsze to, że na zaproszenie organizatorów, którym przewodniczył szef tygodnika „Fakty 75” Jan Górec-Rosiński, do Bydgoszczy zjechało kilkuset pisarzy, artystów, krytyków i dziennikarzy różnych branż, reprezentujących wszystkie liczące się w kraju środowiska twórcze. Byli wśród nich i

tacy, którzy jeszcze niedawno wznosili ramionami na dźwięk hasła „Rzeczywistość a sztuka”.

Przyjechali przecież nie dla uroków miasta Bydgoszczy, pod względem architektoniczno-urbanizacyjnym raczej wątpliwych, przyjechali nad Brdę nie dla uciech towarzyskich, które z reguły towarzyszą, co zrozumiałe i potrzebne, takim imprezom. Przywiodł ich do miasta Wyczołkowski, Ociecki, „Capella Bydgostiensis”, Grzymala Siedleckiego (że pomieszam nieco chronologię) szeroki trakt ideowy, który od pewnego czasu przemierza Polskę, prowadząc kulturę artystyczną w pobliże spraw realnych, codziennych profilujących społeczne zachowania, postawy i nastroje. Właśnie w kręgu tych spraw współczesna kultura polska odnajduje racje swego istnienia, swego faktycznego, bo przez zbiorowość sankcjonowanego rozwoju. Co prawda „słowiarze” hasają jeszcze po obszarach poezji, co prawda wydaje się jeszcze prozą „monologu wewnętrznego”, co prawda maluje się nadal płótna bez semantycznego związku ze światem społecznych uwikłań jednostki, to przecież wszystkie te zjawiska należą już do przeszłości. I choćby to była przeszłość klasyczna, znakomicie licząca się w całokształcie naszej kultury, jest to ostatecznie rzecz dość odległa od przekonań i oczekiwań artystycznych nowych pokoleń, które kierując widzenie w okolicie spraw zwyczajnych — pięknych, wstrętnych, radosnych i smutnych — mówią o nich wprost, często w sposób publicystyczny, językiem tyle przejrzystym co chropowatym, nie stroniąc przecież od potęgającej autorską artykulacją metafory. Ale nawet wówczas, w tym ostatnim przypadku, sfera inspiracji mieści się na zewnątrz, w tłumie ulicznym, w relacji człowiek — maszyna, człowiek — środowisko biologiczne...

Ow trakt polskiej kultury artystycznej znalazł swoje forum właśnie w Bydgoszczy, co każe szukać w tym mieście jakichś szczególnych okoliczności sprzyjających zjawisku. Wybaczcie, koledzy po sprawie, takie momenty odnalazłem przede wszystkim w waszej działalności organizacyjnej i bystrym widzeniu tych procesów, które od nie tak dawna kształtują główne trendy naszej literatury, plastyki, fotografii, także — choć w mniejszym stopniu — teatru. Dostrzeżliście, co się święci i jednym szybkim ruchem ściągnęliście „sztukę faktu” do Bydgoszczy. Wasza zasługa, nikt wam tego nie odbierze, po raz pierwszy w Polsce połączyliście pokrewne tendencje odmiennych dyscyplin w jeden problem kulturowy. Gdyby natomiast w samej Bydgoszczy starała się szukać sztukę komentującą rzeczywistość społeczną — wynikłyby zapewne jakieś kłopoty poznawcze...

Bydgoski festiwal „Rzeczywistość a sztuka” składał się z trzech części. Podczas pierwszej, o charakterze teoretyczno-dyskusyjnym, zaniejowanej eseistycznym wystąpieniem programowym J. Górecy-Rosińskiego, przedstawiono perspektywy rozwoju kultury w Polsce (wiceminister dr W. Loranc), niektóre problemy krytyki artystycznej (W. Sadowski), tradycje literatury faktu (Cz. Niedzielski) i pojęcie bohatera literackiego współczesnej prozy (S. Melkowski). J. Lovell zastanawiał się, czym jest i powinien być reportaż, P. Kuncewicz mówił o poezji polskiej i jej związkach z rzeczywistością, podobną kwestię w kontekście plastyki zaprezentował M. Gutowski, a U. Czartoryska zreferowała kierunki i zagadnienia dzisiejszej fotografii...

Druga część festiwalu to wystawy: plastyczna i fotograficzna, urządzone w doprawdy imponującym BWA. Spojrzenie na poszczególne obrazy czy

grafiki prowadzi do jednej opinii: w Bydgoszczy doszło do otwarcia rzeczywistości wartościowej, zróżnicowanej formalnie i młodej ekspozycji, którą bez względu na drobne potknięcia kwalifikacyjnie można by nazwać swoistym komentarzem do naszej rzeczywistości społecznej. Oczywiście, nie obeszłoby się przy takim ujęciu sprawy bez polemiki z poszczególnymi autorami, którzy nieco jednostronnie potraktowali cenne skądinąd zachęcenie do krytycznego widzenia zjawisk... Gdyby jednak „wziąć na serio” i rozliczyć bydgoską wystawę z zobowiązań wobec hasła „Sztuka faktu 75”, które firmowało imprezę, znaleźlibyśmy się zapewne w sytuacji inżyniera Nowaka (Andrzeja Mleczki) skrzyżowanego ze straszonym ptakiem Andrzeja Dudzińskiego, co byłoby o tyle możliwe, że prace obu — odpowiednio powiększone fotograficznie — ozdabiały ekspozycję. Nie wnikając w szczegóły wyjaśnić mimochodem, że definicja „faktu” okazała się sprawą budzącą namietność wielu osób przybyłych na festiwal. Wobec jakości wystawy plastycznej nie jest to jednak powód do dłuższego biadolenia.

Trzecia część festiwalu toczyła się w zakładach pracy, domach kultury województwa bydgoskiego, w klubach przyfabrycznych, gdzie pisarze, malarze, fotograficy, krytycy — zazwyczaj połączeni w grupy — spotkali się z publicznością. Wydaje mi się, że była to bardzo ważna część bydgoskiej imprezy, podobnie jak ufundowanie przez pięć dużych zakładów produkcyjnych województwa wysokich nagród pieniężnych dla artystów biorących udział w wspomnianych wystawach.

Do zobaczenia zatem w niecałe dwa lata w Bydgoszczy, na kolejnej impre-

IJK

LISTY

Teraz leżą przede mną. Sześć listów w sześciu kopertach. Dostaniesz je. Jesteś bezradny. Oczywiście będziesz je musiał wszystkie przeczytać.

Lecz nagle właśnie w tej chwili, kiedy podnoszę je do skrzynki, ręka opada mi jak martwa. I nie wiem, czy to wysię. Nie chodzi tylko o to, żeby mówić. Chodzi o to, żeby to, co mówimy, było słyszane. A ja właśnie w tej chwili zrozumiałam ostatecznie, że mówię do milczenia.

Jesteś tylko milczeniem. Milczeniem i rozkoszą. Rozkoszą, która jest przeciw śmierci, która jej przeciw, ale która milczy, jak śmierć. Jesteś rozkoszą, która ma zamknięte usta. Nie mogę cię

zrozumieć. Nie mogę również podarować ci moich słów.

Spotkałam cię na granicy życia i śmierci, na granicy zwątpienia. Więc może to jest bardzo dużo, to co mi dajesz. Ja nie wiem. Ale wobec tego, co ja mam do dania to jest za mało.

Muszę sobie powiedzieć: ten mężczyzna, którego mam na co dzień i z którym nie ma mnie nie dzieli, jest właściwie nieosiągalny.

Mam w rękach dwie kolorowe kule — jedna z czerwieni, druga koloru cyklamenu. Jedna to miłość, druga, przymus lamania samej siebie. Kiedy uczyłam się o Muciusu Scaevoli, zazdrościłam mu tego, że włożył rękę w ogień. Teraz sama stoję jak Scaevola. kładę rękę w ogień i trzymam ją tak długo, jak sama zechcę.

Oto nadchodzisz — widzę cię o krok. Brak mi już tylko tego kroku, żeby być z tobą.

Mam w rękach dwie kolorowe kule — jedna z czerwieni, druga koloru cyklamenu.

Popatrz! Odrzucam jedną. Pozostaje mi druga — koloru cyklamenu. Ona też jest z czerwieni. Ale zimnej.

Szczytno, 30 VIII

Nidzica, 31 VIII

Przeszedłeś przede mną jak przez stratomane pole, jak przez wypalone pole. To twoje przejście mogło mi przynieść wiarę w życie.

Nie przez to, żebyś mi dał coś z siebie. Rozumiałam, że nie masz nic do dania i to właśnie napelniało mnie tklwym ciepłem, to właśnie mogło się stać powodem, bym sama stała się pełnią, obdarzając.

Przeszedłeś przede mną jak przez stratomane pole, z uśmiechem pełnym milczenia. Mogłam żyć tym uśmiechem. Ale ty przeszedłeś przede mną nie po to, żeby mi dać choćby ten uśmiech pełen milczenia, lub ażeby coś przyjąć. Twoja ręka nie schyliła się nigdy nad moją ziemią.

Przeszedłeś przede mną jak przez stratomane pole nie dostrzegając ani przez chwilę ziemi, po której idziesz, patrząc zawsze przed siebie, zawsze jednakowo daleko.

Przejdź i pódź. Chcę pozostać sama. To może dobrze, że tak się stało. Już przed twym nadchodzeniem witałam śmierć.

Teraz witam ją po raz drugi. Bez buntu.

Stanisława Zakrzewska

